ŁOWIEC POLSKI



Przed wojną, żubry w Białowieży. Z fot. ofiar. przez p. Jana Grabowskiego.

ORGAN POLSKIEGO ZWIĄZKU STOWARZYSZEŃ ŁOWIECKICH

NR. 50-51. 14 GRUDNIA 1929 R.

NUMER GWIAZDKOWY.

Przesyłka pocztowa opłacona ryczałtem.
Nr. 50—51 (554). WARSZAWA, 14 grudnia 1929 r. ROK XXII.



ŁOWIEC POLSKI

ORGAN POLSKIEGO ZWIĄZKU STOWARZYSZEŃ ŁOWIECKICH

KONTO P. K. O. „Polski Związek Stowarzyszeń Łowieckich" 8082.
ADRES: NOWY-ŚWIAT 35. TELEFON 7-98.

Pismo tygodniowe. Wychodzi w każdą sobotę.

Cena prenumeraty i ogłoszeń zob. na odwrotnej stronie.

PRENUMERATA: Zgóry za kwartał zł. 8; za pół roku zł. 15; za rok zł. 28. — Miesięcznie 3 zł. — Numer pojedyńczy — 1 zł Numer ozdobny 1 zł. 50 gr. Za numery, które wyszły przed zapłaceniem, liczymy po 1 zł.

CENY OGŁOSZEŃ: Milimetr za tekstem 60 gr. Cała strona — 300 zł.; ½ — 150 zł.; ¼ — 75 zł.; ⅛ — 40 zł. Przed tekstem — 50% drożej. — **Za zastrzeżone miejsca dopłaca się 25%. Agentom niewolno pobierać zaliczek.**

W numerach ozdobnych: za tekstem milim. 90 gr. Cała strona 450 zł.; ½ — 225 zł.; ¼ — 115 zł.; ⅛ — 60 zł Przed tekstem 50% drożej. — **Za zastrzeżone miejsca dopłaca się 25%. Agentom niewolno pobierać zaliczek.**

Święta nadchodzą...

Święta — to okres, w którym każdy myśli o przyjemności innych i... własnej. A czyż można sprawić swym bliskim i sobie zarazem większą przyjemność, jak kupując samochód?

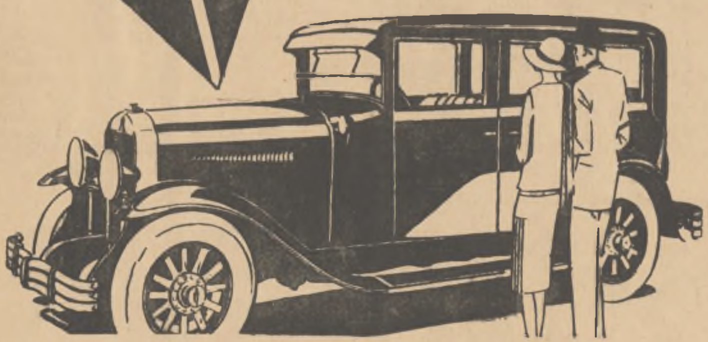
Buick nadaje się szczególnie do tego. Cena jego wyjątkowo niska, jakby specjalnie zniżona na okres świąteczny, bo tylko

Zł. 26.300.

Dostawa Buicka natychmiastowa, gdyż każdy z zastępców Buicka w Polsce ma samochód gotowy do jazdy. I w dodatku, dogodne spłaty według planu GMAC.

BUICK

GENERAL MOTORS w POLSCE, WARSZAWA



Wyśmienite naboje

Tygrys ludojad.

W ogrodzie zoologicznym odbywa się codziennie karmienie drapieżnych zwierząt. Widowisko bardzo ciekawe: tygrys rozdzierający pokrwawione płaty surowego mięsa. Przez publiczność przed klatką przeciska się gwałtownie i staje wreszcie na przedzie jakaś starsza dama, bardzo zadowolona, że zdobyła wygodne miejsce.

— Przepraszam pana, czy tygrys pożera także ludzi? — zwraca się do dozorcy.

— Naturalnie, proszę pani, najchętniej, ale w tym tygodniu nie możemy go przekarmiać — powiada dozorca. — Musi się pani zgłosić innym razem.

Z opowiadań myśliwskich.

Niedawno temu spotykam dziewczynę. Prześliczna. Zagaduję ją, siadam pod drzewem, oparłszy o nie swoją strzelbę. Ona siada koło mnie. W chwili najgorętszej rozmowy zjawia się ojciec dziewoi, obrzuca mnie wzrokiem piorunującym, przyskakuje, chwyta strzelbę i...

— Strzelał...

— Nie. Ucieka czemprędzej w gąszcz lasu. Jego córka, korzystając z zamieszania, także zniknęła bez śladu.

Samiczka.

Konduktor kolejowy: — Proszę pani, ten kot musi iść precz z damskiego przedziału.

Panna X: — Ależ to kotka.

Puszczyki.

— Gdzie przebywał prorok Eljasz?
— Na puszczy.
— A jakże się nazywają pobożni ludzie, którzy samotnie żyli na puszczy?
— A juści puszczyki.



Polowanie na kaczki. Juljan Fałat.

ROK 1886. *)

Nieśwież, stolica rodu magnackiego książąt Radziwiłłów, tętniąca niegdyś życiem i fantazją członków rodziny, jak księcia Sierotki, księcia Rybeńki, księcia Karola Panie Kochanku, księcia Dominika, po spaleniu i zniszczeniu zamku w odwrocie Napoleona z pod Moskwy przez jenerała Tuczkowa, — zasunął się w zapomnienie i dopiero od roku 1870 ordynat książę Antoni Radziwiłł wespół z małżonką swą, księżną z Telegrandów Castellane zaczęli odbudowywać i zaludniać zamek, zapraszając gości z Europy.

Właśnie w tym roku 1886 roznoszą gazety wiadomości, że książę Wilhelm pruski jedzie do Nieświeża do księcia Ant. Radziwiłła na polowanie na niedźwiedzie. Ponieważ w ostatnich czasach rysowałem wiele do ilustrowanych pism, jak „Kłosy", „Tygodnik ilustrowany" i „Tygodnik Powszechny", wykombinowałem, że na tych polowaniach powinien znaleść się artysta malarz, któryby ilustracjami z owych polowań zasilał ilustracje polskie i zagraniczne, więc nie tracąc już ani chwilki czasu, postanowiłem pojechać do Nieświeża, zaopatrzywszy się w polecające listy. Otrzymałem w pierwszej linji list od Franciszka Wereszczaki z Rajec w Nowogrodzkiem do Michała Abłamowicza, pełnomocnika książąt Radziwiłłów w Nieświeżu, jednak uważałem to pismo za niedostateczne, więc jeszcze o północy zapukałem do mecenasa Wrotnowskiego, ówczesnego prezesa Towarzystwa Zachęty Sztuk Pięknych, aby mi dał list do kogoś z książąt Radziwiłłów, wiedząc o jego relacjach z nimi.

Mecenas Wrotnowski odrazu zrozumiał ważność mojego przedsięwzięcia, i nietylko opatrzył mnie pismem, ale wskazał mi wiele rad, od kogo zacząć należy. Przyszło mu to tem łatwiej, że książę Maciej Radziwiłł był jego klijentem i właśnie dziś w klubie dowiedział się, że bawi już w Nieświeżu.

Jest 13 luty. Dla wielu byłaby to data niezachęcająca do takiej antreprizy, dla mnie nie ma ona znaczenia, ale odwrotnie, czuję w duszy, że moje postanowienie wzbudziło zapał i nieznane, radosne nawet nadzieje; pod wpływem tego radosnego nastroju pakuję swoje utensylja malarskie, i tego samego 13-go lutego postanawiam najbliższym pociągiem wyjechać koleją Terespolską przez Brześć Litewski do Horodzieja, najbliższej stacji od Nieświeża.

Na stacji w Warszawie pragnę się coś dowiedzieć o podróży księcia Wilhelma pruskiego, ale zorjentowałem się, że w obecnym czasie niebezpiecznie jest dopytywać się o osobę księcia, gdyż to epoka nihilistów rzucających bomby, więc już na ryzyko z biletem do Horodzieja wsiadam do pociągu.

Jakież moje zdziwienie, gdy zaraz po wyruszeniu pociągu opowiada konduktor jakiemuś pasażerowi, że tym samym pociągiem jedzie książę pruski.

Z przybyciem pociągu do Brześcia Litewskiego mogłem rzucić okiem na świtę księcia. Widać z wy-

*) Zmarły wielki artysta, wzruszony ozdobnym numerem, który Mu „Łowiec Polski", w celu uczczenia Go, poświęcił w roku ubiegłym, darował „Łowcowi P." niniejsze wspomnienie.

glądu, że to towarzystwo z zachodniej Europy. Jeden pan z tego towarzystwa uderzył mnie wzrostem i charakterystycznie przystrzyżonemi, siwiejącemi bokobrodami, a gdy podszedł do przekupnia dzienników, rozmawiając po polsku, i zakupił masę polskich gazet, byłem pewny, że to sam książę Ant. Radziwiłł. Nie pomyliłem się, — był w myśliwskiem ubraniu, w którem go tylokrotnie potem malowałem.

Czwarta rano. Stajemy w Horodzieju, stacji o 13 wiorst odległej od Nieświeża.

Mróz straszliwy, dochodzi do 20 stopni. Opuściwszy wagon, ułożyłem plan, aby za wszelką cenę tutaj jeszcze wręczyć list któremuś z tych panów, którym jestem polecony.

Stacyjka maleńka, typu rosyjskiego, zasypana śniegiem. Ośnieżone drzewa, sztachety, oświecone blado i brudno żółtawem światłem paru zakopconych latarni, oto pierwsze wrażenie. Mróz trzeszczy i skrzypi pod nogami, widzę — to inny świat — to inny mróz, inna zima, jakiej jeszcze w życiu nie oglądałem.

U wyjścia z dworca, zbita i czarna masa ludzi na tle buchającej pary z otwartych drzwi, wskazuje, że tam coś ważnego się dzieje.

„To niemiecki car pryjechaw na ochotu do kniazia Radziwiłła", tak określa jakiś pasażer drugiemu, wlokącemu tobołki i wołającemu „nosilszczyka". Dziś jednak trudno o „nosilszczyka", jak również trudno docisnąć się do wyjścia, — a mnie tak śpieszno złapać któregoś z tych panów.

nim. Czuję, że tu ważą się moje losy; zapytuję z kim mam honor mówić i energicznie wręczam mu list, prosząc, gdyż jest w bardzo ważnej sprawie, aby zaraz był łaskaw ten list przeczytać. Czyni to niechętnie, co zrozumiałe jest, gdy chodzi o to, by o 4-ej zrana załatwić jakieś sprawy z nieznajomym. Czytającemu, a raczej przebiegającemu oczyma dość nieczytelne pismo, — dodaję, że mam list do księcia Macieja Radziwiłła od bardzo poważnej osoby.

Wiadomość o liście do księcia Macieja Radziwiłła zrobiła większe wrażenie, albowiem podniósłszy oczy, p. Abłamowicz rzekł: „Ma pan list do księcia Macieja?" i odszedł w kierunku wyjścia z dworca, gdzie w sankach książę Maciej Radziwiłł już był zajął miejsce. Po krótkiej rozmowie z księciem, w której widocznie oznajmił mu to, co wyczytał z listu, że jest tu artysta malarz z Warszawy, który chciałby być niedaleko polowań, aby zrobić z tego rysunki do ilustrowanych czasopism, książę Maciej poprosił, abym przybył do Nieświeża do zamku, co pan Abłamowicz, wróciwszy, zakomunikował mi. Taka odpowiedź była dla mnie narazie wystarczająca, byłem już przekonany o najlepszym wyniku swej podróży i swych marzeń podnieconych podczas nieprzespanej nocy w wagonie. Spokojniej już obmyślam, jak odbyć teraz podróż do Nieświeża, i pertraktuję u wejścia z żydkami, okutanymi, jak eskimosi i ziejącymi mrozem. Wybrawszy jednego, puściłem się w Imię Boga w drogę.



Ranny niedźwiedź. Juljan Fałat.

Widocznie książęta już wsiedli do sań i odjechali, gdyż owa cała kupa czarnych postaci, której żandarmi bronili wstępu, nagle wsiąknęła do sieni i ja za niemi.

„Czy znasz pana Abłamowicza?" — pytam pierwszego napotkanego służącego kolejowego, popierając swoje zapytanie srebrnemi kopiejkami. „Ta czemu nie miałbym znać pana pełnomocnoho", i po kilku obrotach i przegięciach wskazuje mi dyskretnie palcem na barczystego pana rozmawiającego z naczelnikiem stacji. Sekunda jedna, a jestem już przy

Noc jeszcze zupełna w przestworzu i w mizernych domkach miasteczka Horodziej.

Wszystko tonie w ciemno błękitnym, zielonawym kolorze, z którego wyłaniają się tylko ciemniejsze jeszcze ściany drewnianych domów, odbijające energiczny głos dzwonka, i wskazują nam egzystencję jakichś sadyb.

Po paru zakrętach, których kierunek wskazują oszronione do grubości powrozu, obwisłe druty telegraficzne, wydostajemy się na wzgórze. Czuję, że znajdujemy się już w czystem polu. Co to za noc, co to

za zima w tych stronach. Drzewa oszronione, jak skały lodowate, potworne i dziwaczne, przy poczynającem bladnieniu nieba, pochłaniają me oczy, moje myśli i wyobraźnię. Cisza straszna w naturze i tylko jęk dzwonka przy sankach świdruje uszy i mózg silący się odgadnąć głębie lasu, obok którego przejeżdżamy, lub zrozumieć marną egzystencję tego nędzarza-żydka wiozącego mnie za półtora rubla, narażającego swe zdrowie i życie, lub egzystencję podobnych jemu postaci mijanych po drodze. Zapominam, że właściwie żydek - woźnica prędzej mógłby nademną snuć podobne myśli. Nie posiadam zupełnie odpowiednich ubrań, aby odbywać podróż w tak mroźną zimę.

Doskwierający mróz poczyna dobierać się wszelkiemi porami. W sankach ani źdźbła siana lub słomy, a jakieś kawałki płacht zużytkował sam woźnica, obwinąwszy sobie nogi. Kulę się i otulam, jak mogę, licząc nieskończenie długie wiorsty. Nareszcie wjeżdżamy na pagórek, z którego oglądam swoją Mekkę, zamek Nieświeski i miasteczko z wieżycami kilku kościołów.

Z morza rozścielonych oparów nad stawami otaczającymi zamek, wyrastają, jak skały, mury zamku i wież, mając za tło cynobrową jasność wschodzącego słońca. Pomimo strasznego zziębnięcia, pochłaniam tę grę kolorów i szczególną formę wież, u których szczytu zwisają tak charakterystyczne orły Radziwiłłowskie

Słońce wnet już wyjrzy z oparów mroźnych, które zasłaniają jeszcze tarczę słoneczną. Niebo różowe

jękiem chce wywrzeć całą swoją złość za siebie i za konika, którego z mej przyczyny wyciągnięto z ciepłej stajenki.

Według wskazówki zajeżdżam przed apartamenty pana „pełnomocnoho", jak tu wszyscy nazywają pana Abłamowicza.

Ogrom i powaga zamku, na który tak zbliska patrzę, zgnębiły mnie zupełnie. Przesuwające się postacie myśliwych i różnego rodzaju służby, rzędy sani w różnorodnych uprzężach, zimno w tych murach nawet dotkliwsze jeszcze, zgnębiły mnie tak, że na chwilę opanowało mnie zwątpienie dopięcia zamierzonego celu, i gdybym posiadał fizyczną moc, to kazałbym zawrócić i wrócić tam, skąd przybyłem, spełniając niejako fantazję artysty. U wnijścia powitał mnie służący, odmienny od wszystkich, jakich kiedykolwiek spotkałem. Lat może pięćdziesięciu, z okrutnie pomarszczoną twarzą i długimi włosami, z podgolonymi wąsami, z cieniutkimi kosmykami wąsów wychodzących jakby z dziurek nosa. Wita mnie życzliwie i wprowadza do gabinetu p. Abłamowicza, zostawiając mnie samego.

Pokój duży, kwadratowy, z dwoma wielkiemi oknami na północ, przez które wskutek grubości murów niewiele przedostaje się światła. Skóry niedźwiedzie, łosie rogi, przybory myśliwskie na ścianach i na stole, mówią, że tu rezyduje myśliwy, i czuć, że się jest przed jakąś wyprawą. W kącie potężny komin z palącemi się kłodami, ciągnie mnie do siebie. Grzejąc się, rozglądam i wyczekuję z natężeniem, rychło się coś stanie, co moją dziwną sytuację rozja-



Z Polesia. Juljan Fałat.

z przejściem w opal i seledyn, a na niem setki słupów dymu strzelających z kominów zamku i miasteczka prosto w niebo. W górze słupy te już zaczynają różowieć, już czerwienieją, już się wszystko pali czerwonym ogniem, ale ogień ten oświeca, lecz nie grzeje. Mróz nawet zdwaja swą intensywność, pastwiąc się nad bezbronnym artystą, — ale cuda oglądam. Przebywam miasteczko zmarznięty na kość, jak to mówią, wjeżdżam w bramę zamku z akompanjamentem ciągle strasznego mrozu i jęku dzwonka, który pod długiem sklepieniem bramy wjazdowej, zwiększonym

śni. Niedługo czekam, gdy zjawia się p. Abłamowicz, żądając listu do księcia Macieja Radziwiłła.

Zostawszy znowu sam, usiadłem przed kominkiem, zmęczony zimnem, i zdrzemnąłem się, — gdy cichutko jakaś starsza osoba, dziwnie sympatycznym głosem wita mnie słowami: „Ach, czy to pan Fałat"? i kontynuuje dalej: „znamy pana przez naszą kuzynkę, pannę Józefę Tuhanowską z Tuhanowicz, u której pan bawił w zeszłym roku". Sympatyczny dźwięk głosu i słowa tak serdecznie wypowiedziane, przywróciły mi przytomność i siły. Nie czekając odpowie-

dzi, ta zacna pani (matka p. Abłamowicza) zaprasza mnie zaraz na herbatę. „Ach, jak pan musiał zmarznąć, wszak mróz, aż gonty trzeszczą na dachach", mówi, podając mi herbatę.

Nowogródczanie są niesłychanie czuli, gdy ktoś sławi ich Świteź, Nowogródek. Wszyscy wnet się dowiedzą, gdy kto z Warszawy lub dalej ze świata przybędzie do nich. Z radością pokazują wszystkie osobliwości, obwożą po dworach i zaściankach.

P. Abłamowicz, objąwszy mnie niejako pod swoją opiekę, użyczył mi w całej pełni swej gościnności, kontrolując i pomagając mi w wyposażeniu na tak długą wyprawę. Oświadczono mi, że wyjazd dzis o czwartej po południu na noc do Radziwiłłmont.

Godzina dziewiąta dopiero i do czwartej daleko jeszcze, więc zabieram się do farb i do myśliwych, którzy się tu przed oczyma snują. W przeciągu kilku godzin stworzyłem kilka akwarel, któremi stwierdziłem swoją autentyczność. Stiepan Czorny, Hubczyk, Oreszko, trzech niedźwiedników z wyglądu i charakteru, dali mi możność popisania się moją sztuką, którą opanowałem nabytą wprawą w podróżach, gdzie trzeba szybko i nieraz w bardzo trudnych warunkach pracować.



Z Polesia. Juljan Fałat.

Otóż fama mej bytności w Tuhanowiczach, w Worończy, Rajcach i nad Świtezią, obmalowania pamiątek po Mickiewiczu, widocznie dotarła do familji Abłamowiczów, a tem samem już miałem drogę trochę utorowaną.

Zasiadłszy przy obficie zastawionym stole i kipiącym i pryskającym ogniem samowarze, poczułem jakąś przyjazną nić łączącą mnie z paniami, gdyż wnet i żona p. Abłamowicza przybyła, czyniąc honory gospodyni domu. Tych kilkanaście minut wystarczyło, abym przyszedł do przekonania, że gdybym nawet nie był dopuszczony do oglądania polowań, to tu, co już przeżyłem, i oglądam, policzę do niezwykłych wspomnień.

Wśród miłej pogawędki, otwierają się drzwi i wchodzą panowie: Abłamowicz i książę Maciej Radziwiłł, trzymający list polecający mnie w ręku. Przywitanie uprzejme, ale sztywne. Książę Maciej R. zapytuje mnie, czy nie mam z sobą jakich szkiców, na co potakująco odpowiedziałem i wręczyłem szkicownik pełen doskonałych rysunków, akwarelek, z którym zaraz obydwaj panowie wyszli.

Po dobrej półgodzinie przybywają panowie i oświadczają mi, że książę pruski oglądał z zachwytem moje prace i że książę Antoni Radziwiłł zaprasza mnie do towarzystwa na polowanie.

Od tej chwili moja sytuacja odrazu zmieniła się do niepoznania.

Owe prace przedstawione zaraz księciu pruskiemu, uzyskały entuzjastyczną aprobatę nietylko wysokiego gościa, który podobno sam maluje, ale podobały się gospodarzowi, księciu Antoniemu R. Ta aprobata i zrozumienie przez gospodarza, jaką usługę może oddać dobry artysta tym tradycyjnym polowaniom Radziwiłłowskim, ułatwiły mi odrazu zajęcie godnego stanowiska w tem świetnem towarzystwie. W tej chwili dowiaduję się, że moja osoba nie robi żadnych komplikacyj, gdyż miał przybyć z Berlina artysta malarz; z jakich zaś powodów nie przybył, nie wiem, dość, że zająłem miejsce przygotowane dla innego artysty. Sytuacja jak w bajce.

Po późnem śniadaniu rozpoczęło się zajeżdżanie i lokowanie w saniach zaprzężonych po trzy konie w tak zwane szydło, i punktualnie o czwartej opuściliśmy zamek. Dalszy program opiewa: obiad i nocleg w Radziwiłłmontach, a nazajutrz podróż do Deniskowicz; po drodze zapolowanie na jakiegoś małego niedźwiadka.

Opuściwszy zamek, trzeba przebyć groblę łączącą zamek z miastem. Na tej grobli jenerał Strukow przy-

dany przez rząd rosyjski dla towarzyszenia księciu pruskiemu, prezentuje pułk dragonów marjampolskich. Po małej przerwie, o zmroku wyjeżdżamy na trakt łączący Nieśwież z Kleckiem i Radziwiłłmontami.

Powitanie z dobrym znajomym z rannej podróży, mrozem, już mnie nie przestrasza. Sąsiedztwo w wygodnych saniach, z gorącem sercem i ciepłemi futrami zdobytego świeżo przyjaciela, p. Abłamowicza, daje mi swobodę ruchów, myśli i obserwacji. Cały świat oszroniony, a wnet i konie i furmani, myśliwi i sanie, sharmonizowani w mig szronem, jakby przez największego malarza. Sanie i sanki, konie i ludzie nabrali patyny mroźnej, która pokryła tu nowy dyszel, tam nowy chomąt lub hołoblę. Jadąc, lekceważę nawet mróz i podpatruję, podziwiam i ładuję do mózgu wrażenia nowego świata. Zima niezwykła, sami mieszkańcy to mówią.

Jedziemy przy akompanjamencie kilkudziesięciu dzwonków. Droga prosta i szeroka, o podwójnym rzędzie brzóz stuletnich, oszronionych, wskazuje aż do horyzontu jeden i ten sam kierunek prosty. Żałuję, że nigdzie nie skręca, abym mógł z boku przyjrzeć się tej niezwykłej kawalkadzie. Mijamy w późny wieczór, zasypane śniegiem miasteczko Kleck, malownicze swoją nędzą, dalej zaśnieżonemi polami przedzieramy się przez mroźną mgłę zalegającą nad lasami i zasłaniającą nam zupełnie horyzont i Radziwiłłmonty, do których drogę wskazują płonące ognie.

Gdy wjeżdżamy do Radziwiłłmont w ciemną już noc, stosy płonącego drzewa, na zakręcie, w środku dziedzińca, przed stajniami i w różnych zakątkach, wskazują na jakąś wielką rezydencję. Widać, że tu drzewa nie brak. Uwaga i nastrój — aż dech zapiera mi w piersiach.

Radziwiłłmonty to dwa długie, drewniane, parterowe budynki naprzeciw siebie, z gankami w pośrodku, wysokości pierwszego piętra. Olbrzymie kolumny drewniane, podtrzymujące dachy ganków, mówią, jakie tu sosny rosną. Noc ciemna, przesycona mroźną parą, śniegu świeżo spadłego blisko na metr, ogromne drzewa łamią się pod śniegiem i szronem, gałęzie chwytające światło palących się ogni i światła z okien, zdają się pragnąć zajrzeć przez okna do wnętrza. Przed gankiem szereg myśliwych Radziwiłłowskich w pełnym rynsztunku, z pochodniami robią honory na przyjęcie wysokiego gościa. Buchająca para z otwartych drzwi, buchająca para ze zbieganych koni, dymy z pochodni i łuczywa, zamęt tylu sań i sanek, głosy nawołujących się, wypełniają aż pod strop nieba taką malowniczością, takim wspaniałym nastrojem, że serce bije mi z radości, jak młotem, iż to ja wszystko w rzeczywistości oglądam. Na wszystkich twarzach radość, — widać, że polowanie u księcia Radziwiłła to wielkie święto.

Przyglądam się najprawdziwszym wyrwidębom strażującym w matecznikach.

Ruch ludzi i zajeżdżanie jeszcze ciągle spóźnionych sanek, snucie się ludzi między tymi dwoma budynkami przypomniały mi nastrój karnawałowy, salę balową, gdzie przygotowuje się monstre kontredans. Dwa budynki to dwie kolumny tańczących naprzeciw siebie, a ludzie przemykający między budynkami, to jakieś jednostki lub pary zbłąkane, szukające właściwego miejsca.

W jednym budynku ulokowują się książęta, a w drugim, tak zwanej oficynie p. Abłamowicz i ja, będąc dzisiaj gościem pana Olszańskiego, zarządzającego kluczem Radziwiłłmontowskim. Jestem pod opieką p. Abłamowicza, dzielę z nim pokój, czuję jeszcze na sobie jego obserwację. Poprzednia noc nieprzespana, dzień przepracowany i mózg przesycony wrażeniami, znieczuliły mnie na robienie dalszych obserwacyj. Kolacja przeplatana starką, prawdziwą woyniłłowiczowską, z którą po raz pierwszy zrobiłem znajomość, usposobiły mnie sennie i patrzałem, jak przez mgłę, na wszystko i na wszystkich. Usypiałem tej nocy z głową oszołomioną prześlicznemi wrażeniami i uczuciem zadowolenia z pomyślnego obrotu mej, nieco awanturniczej wyprawy.

(Dok. n.). JULJAN FAŁAT.



JÓZEF WEYSSENHOFF

znakomity twórca „Sobola i panny" i „Puszczy" otrzymał za całokształt swej działalności literackiej nagrodę m. Poznania w roku bieżącym.

Redakcja „Łowca Polskiego" przesyła najserdeczniejsze życzenia oraz wyrazy hołdu dostojnemu Laureatowi.

W NOC WIGILIJNĄ.

Ucichła wrzawa łowów. Niekiedy przysiągłbyś, że od dalekich, przywalonych śniegiem, zagajników podzwaniają w mroźnem powietrzu jękliwe wołania — kota-ha! kota! kota! — ale mogły to być jedynie echa, przyczajone wśród jarów i teraz oto resztkami pary wlokące się ku skrajom lasów.

To znów głębie leśne ze zdumieniem i zgrozą przeżuwały odgłos samotnego strzału, a gdy wreszcie stał się on tylko westchnieniem, odrzucały go ku błękitniejącym równiom pól, gdzie rychło konał w mroźnej ciszy i niepamięci.

purowych rozlewiskach horyzontu, rozpłynęło się i zgasło wśród strzelających w górę, sinawych, pachnących olejem, dymów.

Fijołkowe, drżące cienie wypełzły z ukrycia i zasnuły świat. Księżyc tylko czekał na ustąpienie tak poważnego konkurenta, jakim było słońce, — konkurenta, wobec którego akurat tyle znaczył, co chłopak kościelny wobec samego księdza proboszcza. Zręcznie wywikławszy się z tarnin, gdzie wraz z dwoma zajączkami przespał cały dzień boży, wypłynął niby zwiewny, połyskliwy balonik, (znów,

KONKURS FOTOGRAFICZNY 1929 R. „ŁOWCA POLSKIEGO".

1-SZA NAGRODA.



„Lew na rozkładzie". Fot. Stanisław hr. Zamoyski z Pilczyc.

Otrząsnęła się knieja z hałaśliwych odwiedzin ludzkich, pogwarzyły, zaszemrały co starsze drzewa, nasennym dreszczem zatrzepotały przyziemne pręty leszczyn, których awangardy wybiegały aż hen ku łąkowym wiklinom i trzcinom, drgającym, niby napięte struny, wieczystą tęsknicą bytowania.

Zapanowała cisza rodzima, nieobjęta, której nie zamącił trzask pękającego na mrozie graba, ani pogwizdy układających się do snu sikorek lub urywany chrzęst czyichś ostrożnych stąpań.

Mróz był srogi. Słońce zataczało się powoli ku zachodowi. Jeszcze zawisło, rzekłbyś, wśród koronkowych witek wyniosłych, panujących nade wsią, brzóz, niby wglądając w przedświąteczną krzątaninę; wtedy było dokładnie widać czarne grona solidarnie śpiących gawronów, studzienne żórawie, ozłocone wierzchołki stogów, — aż zatonęło w pur-niepoprawny, ukradł był jeden promień słońca) na granatową kopułę nieba i rozejrzał się ciekawie. Gwiazdy, zamówione tej nocy przez nabożnych ludzi nieco wcześniej niż zwykle, zamrugały do niego zewsząd, niby figlarne pensjonarki do starego, nieszkodliwego wielbiciela, pojawiającego się w przepisowej porze w oknie swej samotnej facjatki.

Tak zapadł wieczór wigilijny i noc, a w taką noc jak świat światem, zdarzały się rzeczy niezwykłe i uchylające się z pod pozornie bystrej obserwacji ludzkiej. Udajcie się do bywałych, wiekowych gospodarzy: niejeden z nich słyszał na własne uszy, jak dobytek w obórce, w myśl prastarych kolend, na kolanach sławi Pana zastępów...

Albo zapytajcie organistę z Kosobud! Oczywiście wtedy, gdy jest trzeźwy. Napewno spojrzy na was ponad okularami i zpodełba... a po dłuższym na-

myśle, o ile uzna za stosowne, opowie, jak to raz w noc wigilijną pod dworskim lasem koziołek pozdrowił go był „pochwalonym", albo jak to do stojącego słupkiem kota, w dodatku o pięć kroków, wystrzelał wszystkie naboje i uciekł do domu, gubiąc czapkę po drodze.

Ziąb go wtedy chwycił tak straszny, że chociaż będzie temu z okładem lat dwadzieścia, przecież po dziś dzień wypłoszyć się nie daje najmocniejszą tarkówką swojego własnego pomysłu.

— — — — — — — — — — — —

Filip Kos, znany w całej okolicy kłusownik, rychło załatwił się z wieczerzą. Odsunął precz miskę klusek z makiem, skręcił papierosa, wstał od stołu i jął się wałęsać po izbie, raz w raz spozierając w zapocone okienko.

— Poszedłbyś, jak ludzie, choć raz na pasterkę! — ozwała się od komina baba swym skrzypiącym głosem.

Skrzypiał śnieg pod ciężkiem obuwiem, rozdzwaniały perliste śmiechy dziewuch, nawoływania i okrzyki. Kilka niesfornych głosów nuciło kolendę i czerwone światełko błąkało się tu i tam, niby błędny ognik.

— Aha! z gwiazdą chodzą... czyba od Jakubczaków — pomiarkował Filip Kos, szukając przełazu wśród labiryntu chróścianych płotów. Wydostał się wreszcie na pola, płosząc po drodze stadko kuropatw, nocujące tuż za stodołami.

Zagubiony wśród topieli mroku i śniegów Filip Kos upodobnił się do dzikiego zwierza: kluczył, przypadał do ziemi, nasłuchiwał, rozglądał się lub bezszelestnie pomykał znajomemi ścieżkami. Tak dotarł do dworskiego lasu. W pewnem miejscu, gdzie w las wciskał się głęboki klin oziminy, zaszył się w krzaki i znieruchomiał.

Przed nim rozciągała się śnieżna połać równiny, naświetlonej tajemniczo przez księżyc. Mógł się tu

KONKURS FOTOGRAFICZNY 1929 R. „ŁOWCA POLSKIEGO".
2-GA NAGRODA.



„Budka dla kuropatw — zima 1928-29".
Fot. inż. Stanisław Sieliński z Ciechocina na Pomorzu.

— Ale ciebie ta ciągnie ino do lasu, jak tego wilka gdzie jakiego!

— Nie twój interes! — mruknął Kos, wciąż patrząc w okno.

Bo i ciągnęła go ta noc głucha, wyiskrzona od gwiazd, dysząca tajemnicą i nadzieją łowiecką.

Wszak nie dalej jak wczoraj dwa zające nawiedziły jego własne kapustnisko, do stogów na łące biegł sznur lisich tropów, a za rzeczką na oparzelisku nocują krzyżówki. Drapał się w głowę, medytował, — aż wreszcie zdecydowanym ruchem zbliżył się do łóżka, wyciągnął starą kapiszonówkę, opatrzył i, nie zważając na babskie wyrzekania, po chwili znalazł się w podwórku.

Wonne dymy wciąż jeszcze snuły się ku górze. Wieś tu i ówdzie nacichła, ale na drodze, wiodącej poprzez jarzębinową aleję ku kościołowi, panował gwar niebywały.

pojawić zając, lis lub nawet dzik, wypędzony głodem z rodzimych ostępów. Za plecyma miał milczący, zwarty bór, skąd podobnie mógł się wyłonić zwierz lub... żylasta dłoń leśnika. O czem myślał Filip Kos w tem odludziu, schwytany, niby w potrzask własnych namiętności i strachu? W takich chwilach myśl, nakształt czujnej igły magnetycznej, oscyluje pomiędzy organami słuchu i wzroku... Lecz ten ostatni szybko się nuży. Dziwna bo jest poświata księżyca — widzisz, zdawałoby się, wszystko, jak na dłoni, a jednak dokoła wałęsają się jakieś majaki i tajemnice. Ciemny pniak, na którym Kos tylekroć wypoczywał podczas swych włóczęg nocnych, naraz się zakołysał, uczynił dwa kroki naprzód i odleciał gdzieś w dal księżycową. Przetarł oczy... nic podobnego! Stoi w miejscu, jak dawniej. Na świecie cisza, tylko od dalekiej wioski dobiega żałośliwa i jednostronna pogawędka psa z księżycem, — ale przy

wpatrywaniu się w horyzont zatańczą ci, zawirują zwinne wężyki i leje śnieżne, wzbiją się wzwyż, łącząc niby ruchome filary, niebo i ziemię. Zamieć — czy może trzy kieliszki wódki, wypitej przed wieczerzą.

To znów pojawia się nagle jakiś cień potworny, rośnie, rośnie, wznosi rozpacznie bezcielesne dłonie ku niebu, — aż się rozpłynie w nicość — mgławicę...

Pola dalekie, głuche, nienapatrzone... Coś przywarło do waszej nieobjętej piersi, coś zastygło w waszym bezmiarze, coś błądzi zwiewnym korowodem, wzdychając, zda się, nad niedokończonem dziełem i niewypłakaną niedolą...

Filip Kos przetarł czoło kilkakrotnie: — oman się czepia! — pomyślał, skierowując zmęczone oczy gdzieindziej.

— Ha! — wyrwało mu się z zaciśniętego gardła i włosy, naelektryzowane strachem, zjeżyły mu się pod czapką. Co się dzieje?! O parę stajań wolniutko kicał zając, nie zając, szkielet raczej... cień! Przysiadł. W tej chwili księżyc zapodział się gdzieś w obłokach, sącząc zaledwie coś nie coś światła, przecież zdrętwiały Kos dojrzał złowrogie oczodoły i połyskujące żebra niesamowitego gościa.

Wtem zachrzęściły kosteczki, zadrgały i oto zając jął bębnić łapką w śnieg. Na ten ścinający krew w żyłach odgłos zewsząd zaczęły się posuwać dziesiątki szkieletów mniejszych i większych. Nawet z pod nóg Kosa wyskoczył jeden i olbrzymim susem przyłączył się do gromady kościelców.

Wszystkie one usiadły w półkole i naraz, jak na komendę, zaczęły kicać wprost na Kosa.

Z nieludzkim rykiem rzucił się do ucieczki, darł się przez kolczaste tarniny, zapadał w zaspy, objął o pnie i biegł naprzełaj w las.

A gdy już dech w nim zaparło i pot mu zalał oczy, przystanął i obejrzał się: zające-duchy posuwały się za nim z kamiennym uporem. Było coś przerażającego w tych mechanicznie umiarowych skokach wśród martwego lasu i w bladej poświacie księżyca.

— To ja ich kiedyś pobiłem, i teraz... błysnęła mu myśl. Wnet objęła go jakaś zimna zawziętość. Przecież miał nabitą broń w rękach. Wparł się nogami w śnieg, z wysiłkiem opanował drżenie rąk i wymierzył. Kapiszon wydał suchy trzask... Co to jest? Odjął flintę od oka, zajrzał do luf — może śniegiem zatkane? Posłyszał dziwny syk... Cofnął głowę. Huk, dzwony w uszach, coś ciepłego spłynęło mu za kołnierz, kościelce, sosny, jakieś świetliki zawirowały przed oczyma, wybiegały wyżej, wyżej, gasły... i zwalił się na ziemię, tracąc przytomność...

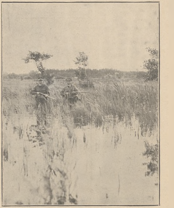
— — — — — — — — — — — —

I znów przedwieczna cisza rozpostarła skrzydła nad lasami. Tylko duch-zjawa dawno zabitego lisa, pokutującego za popełnione łajdactwa, ćwierćtonem zamajaczył w mglistym tumanie. Z przyzwyczajeń ziemskich, węsząc w skupieniu, zbliżył się do krwawej plamy, westchnął i powlókł się ociążale. Cierpiał bowiem za karę na silny apetyt bez jakiejkolwiek możności zaspokojenia tegoż. Później księżyc skrył się za chmury, zerwał się mroźny wiatr i wśród skrzypienia i jęku rozbudzonych sosen zmiótł i zadął pracowicie wszelkie ślady leśnego dramatu, aby nazajutrz pogodne oko słońca nie zaznało smutku.

Zamość.

EDWARD NIEDZIAŁKOWSKI.

KONKURS FOTOGRAFICZNY 1929 R. „ŁOWCA POLSKIEGO". 3-CIA NAGRODA.



„Na błocie". Fot. Zbigniew Wóycicki z Warszawy.

LIST DO REDAKCJI.

Szanowna Redakcjo!

Nie chciałem już, jak wiadomo, dla osłabionego wzroku, pisać do Was, postanawiając zardzewiałe pióro wraz ze strzelbą (z którą stało się to oddawna) jako „martwą naturę" zawiesić na ścianie, gdy wczorajsza wycieczka do państwowego nadleśnictwa Bucharzewa, osiedla bobrowego, nazwanego teraz Bobrówkiem, odświeżyła stary nałóg pisania i podziałała, jak widok butelki u pijaka, albo powiedziawszy lepiej słowami ś. p. ojca mego, który mawiał: stary, wysłużony woźnica, gdy już pojeżdżać nie może, to chociaż z bata wypali.

Otóż palę dzisiaj z uciechy i to wielkiej i gdybym mógł, paliłbym tak głośno, iż usłyszałby to mój przyjaciel, Józef Ziółkowski, który gdzieś tam na rubieży pod Łuckiem, jako inspektor lasów pełni ciężką i odpowiedzialną służbę, i podług swego zwyczaju, cicho, z uśmiechem, a mimo to z tupetem energji zabrał się do organizacji dobra państwowego.

Pamiętasz Panie Józefie, jak to, wyszukując miejsca na osiedle w bucharzewskim lesie, kłóciliśmy się w chwalebnym sporze o każdy skrawek lasu. Ty w wielkodusznym impecie byłbyś rad wciągnąć do osiedla i okoliczne wzgórza z jeziorem Kupkowskiem i leśniczówką Jeziorno i Jeleniec z nakładem. I z pewnością byłoby się stało po Twojej myśli: 100 par bobrów miałoby tam obecnie swoje żeremie, gdyby... ach gdyby! wielkopańskie projekty odpowiadały wielkości państwowego worka. Ale i tak możesz być zadowolonym i na tym małym, 4-hektarowym odcinku bucharzewskim spoczęła opieka naszego św. Patrona i dla ucieszenia serca Twego przeniósł do wielkopolskiej kniei skrawek dziewiczego matecznika.

Tak pięknie to urządziliśmy i obmyślili, Panie Józefie — i wyspę utworzyłeś składną i domek na niej— niczem willę na Helu, zupełnie modną z 4 drzwiami do jej, pozostał widocznym tylko dach czerwony. Dwa nowe domostwa, jako kawalerskie pomieszkania zbudowane obok, świadczą o bobrowym zwyczaju separowania małżonka w czasie lęgu, co dla wszystkich monogamistów byłoby może naśladowania godne...

Czasem też, gdy w błogosławionym, nocnym śnie spoczywa straż dla nich przeznaczona, dla podniesienia wody przy wyspie budują tamę na potoku. We dnie ich ludzkie oko nie dojrzy, chyba gdzieś na dnie wody, jak pstrąga. Wszystkie budowle i sztuki inżynierskie odbywają się w nocy, a materjał do nich, to nicponie! defraudują z lasów państwowych, wycinając go w sposób wyuczonego hularza i wyegzaminowanego cieśli. Spuszczanie grubej, olszowej sztuki trwa zaledwie 7 minut. W środkowem ogrodzeniu świadczą już tylko pieńki, iż stał tam kiedyś las olszowy.

KONKURS FOTOGRAFICZNY 1929 R. „ŁOWCA POLSKIEGO".
4-TA NAGRODA.



„Na kaczkach — lato 1917 — Nagłowice".
Fot. inż. Stanisław Steliński z Ciechocina na Pomorzu.

4 apartamentów dla czterech świeżo poślubionych nowożeńców. A dzisiaj!... Gdy czytać będziesz wieczorem po inspekcji te wyrazy (przy świetle dobrze smolnego ogarka), zajrzyj do pierwszego numeru „Łowca Polskiego" z r. b., ujrzysz tam na pierwszej stronie ilustrację Twojej wyspy. Siedzą tam na pływającym klocu na wodzie 4 bobry i radzą, co mają począć z Twoim ludzkim pomysłem. I zadecydowano wówczas, iż inżynierska, ludzka sztuka nic nie warta, a obecnie już masz dowodny okaz, jaką powinna być bobrowa.

A więc. Wyląg młodych odbyć się winien, nie w Twoim instytucie położniczym, coś go przygotował w domku, ale w specjalnej, z wody wydrążonej jamie. Gdy złość ludzka, po odchowaniu młodych, wejście do jamy zamknęła, przeniosły wprawdzie swoje mieszkanie znów do domku, lecz gardząc drzwiami, utworzyły z wody nowe wejście podziemne. Wille obłożono ziemią i drewnem, tak, że ze wspaniałości Two-

Jeżeli z jednej strony prywatna, gołębia dusza Twoja, Panie Józefie! cieszyć się będzie nad pomysłowością, inteligencją i samodzielnością tego małego stworzenia, to z drugiej strony, rozumiem, jak urzędowa nie może na co innego się zdobyć, za tak bezczelną dewastację państwowego dobra, jak tylko na sprawiedliwy wyraz jowiszowego gniewu.

I nie wiem coby się stało!... Ale te skurczypałki wiedząc, że Cię o wszystkiem powiadomię, przewidując następstwa swawolnego czynu, odbyły śpiesznie naradę i poleciły donieść, iż na gwiazdkę ściągną dla Ciebie dwie skórki: jedna na kołnierz, druga na czapkę. Pomyśl, — będziesz wyglądał jak Abraham Goldstein, ludzie będą pewni, że nosisz pełne kieszenie dolarów... Więc już im wspaniałomyślnie wybacz i uśmierz gniew sprawiedliwy.

A zresztą, kochany Panie Józefie!... te poczciwe bydlęta, gdy zmieniły otoczenie według swojej myśli, natury i szczerej przyrody,—mają rację! Myśmy im

urządzili siedlisko sztuczne, otoczone drutami — jakieś zoologiczne, — a one nam tu na wielkopolskiej ziemi zbudowały kawał szczerego matecznika — gdzieś tam z głębi Polesia. Ach! jakie to miłe i niezwykłe! Panie Inspektorze lasów państwowych! Pal kaduk te kilkadziesiąt dziewiąt... Niech im to wyjdzie na zdrowie... Zrobiły mi one wiele uciechy. Przyjedź i zobacz to, aby była ona i Tobie i abyś widział, iż i w Polsce czasem coś się uda...

Szanowna Redakcjo, proszę o wydrukowanie tego listu w „Łowcu Polskim", może znajdzie gazeta radcę Ziółkowskiego, gdy listy tam nie zawsze dochodzą.

Poznań, 8 listopada 1929.

Władysław Janta-Polczyński.



POLOWANIE NA PĘDZONE KUROPATWY.

Za najpiękniejsze polowania z naganką na drobną zwierzynę uważam strzelanie do pędzonych kuropatw. Wysoki ten sport mało jest u nas stosowany. Zdaje mi się, że pierwsze takie polowania urządzali hr. Branicki i K. Rembieliński na Wilanowskich i Krośniewickich dobrach. Później polowano z naganką na kuropatwy w kilku majątkach w Błońskiem, Kutnowskiem i Grójeckiem. Oczywiście polowanie to nie dla wszystkich myśliwych jest dostępne. Nie mam tu na myśli rodzaju terenu i koniecznej ilości kuropatw, chociaż i to dla udatnego polowania gra wielką rolę. Trudność polega na tem, że myśliwi przyzwyczajeni do strzelania ptactwa tylko z przed wyżła, pędzonej kuropatwy na nagance nie zabiją. Lat temu kilkadziesiąt strzelałem już dobrze, jak to mówią prawie bez pudła, gdy po raz pierwszy wziąłem udział w nagance na kury. Pudłowałem wprost niemożliwie. Na sto wystrzelonych naboi podniosłem zaledwie kilka kuropatw i to strąconych „fuksem" ze stada! Przelatującej pojedynki, w szczególności w zagajnikach, nie zabiłem ani jednej! Dopiero po kilku polowaniach i cennych wskazówkach naszych klasowych strzelb, doszedłem do pewnej wprawy i zrozumienia jak należy strzelać, ażeby w ptaka trafić. Lot rozpędzonej kury jest wielokrotnie szybszy od zrywającej się przed nami. Szybkość zorjentowania się co do odległości ptaka i odpowiednie „założenie", to cała sztuka. Jeżeli kuropatwa ciągnie nisko na sztych, to w momencie, kiedy się nam wydaje, że jest od nas sto kroków, już strzelić do niej trzeba jak do tarczy. Spadnie nam pod nogi. Do przeciągających z boku, należy strzelać tylko przed i za linją myśliwych. Nigdy w górę w chwili, kiedy ptak przelatuje nad stanowiskami. To pudło pewne. W tych strzałach trzeba się śpieszyć, nie mierzyć długo, wyczekać momentu i strzelić w dany punkt przed ptaka z rzutu. W celności strzałów dużą rolę odgrywa postawa. Należy odwrócić się w stronę ptaka i stanąć wprost objektu strzału na pewnych nogach. Mowa tu o równowadze ciała, która jest konieczna. Strzał w momencie, kiedy nogi są na prawo, a korpus i ręce na lewo lub przeciwnie — nie może być dobry.

Przeczytałem świeżo dziełko francuskie o kuropatwach pod tytułem: „La Battue de Perdreaux" przez hr. D'Havrincourt z przedmową hr. Clary. Skłoniło mnie to do podzielenia się z czytelnikami Łowca Polskiego wiadomościami, nabytemi z własnego doświadczenia i zaczerpniętemi z książki hr. D'Havrincourt. W przedmowie swojej hr. Clary, najlepsza strzelba Francji, nazywa polowanie z naganką na kury najpiękniejszym sportem myśliwskim, dającym w dodatku tym ptakom najwięcej szans uniknięcia postrzału, a myśliwym maksimum najróżnorodniejszych i pięknych strzałów. Zdaniem hr. Clary, o ile, strzelając kulami, trzeba choć niedługo prowadzić muszką za zwierzyną, to należy koniecznie unikać tego przy strzałach śrutowych. „Nie pocisk śrutowy winien dogonić ptaka, lecz ptak winien wpaść w śrutowy nabój". Na polowaniach prawie zawsze strzela się nerwowo i za prędko, trzeba pozostawić trochę czasu dla opanowania swoich nerwów, i dopiero we właściwym momencie złożyć się i strzelić prędko w punkt upatrzony, przez który przelatujący ptak wpadnie w śruciny. „Nie strzela się w królika, ponieważ już go się nie widzi, lecz w miejsce, gdzie się winien przypuszczalnie znajdować". Niema nic gorszego jak wodzenie lufą za ptakiem; w szczególności jeżeli się zamyka jedno oko, widzi się i ocenia odległość znacznie gorzej. W dodatku na dziesięć wypadków postrzelenia sąsiada, dziewięć zdarza się z powodu prowadzenia muszką ptaka, przelatującego przez linję myśliwych na wysokości człowieka, z przymkniętem okiem. Niechże każdy stara się strzelać z otwartemi oczyma.

W książce swojej bogato ilustrowanej hr. D'Havrincourt podaje kilka trafnych uwag z życia kuropatw i zachowania się ich podczas polowania. Kuropatwa jak i bażant zresztą, ma wstręt do lotu, fruwa tylko w ostateczności, zmuszona niebezpieczeństwem. Spędzone kuropatwy kręcą się ciągle wokoło swoich

miejsc lęgowych. Jeżeli zapadną w zaroślach parku lub zagajnika, natychmiast wyciekają i powracają okólną drogą do pola, z którego zostały spłoszone. Wyjątek stanowią dni upalne, w których kuropatwy same z siebie szukają w południe cienia i w zaroślach po kilka godzin przebywają. W każdym razie przed wieczorem powrócą one do swych pól. We Francji wojna zadała kłam teorjom co do warunków niezbędnych dla dobrego rozwoju kurpatw. Okazało się bowiem, że na gruntach najwięcej przez wojnę zdewastowanych, zoranych pociskami i okopami, nieobsiewanych przez lat kilka — zaraz po ukończeniu działań wojennych znalazło się znacznie więcej kuropatw, aniżeli w polach uprawnych zdala od frontu, ale niestety, w sąsiedztwie kłusowników. W rok po skończonej wojnie w zniszczonej Szampanji spędzano setki stad kuropatw pomiędzy drutami kolczastymi. Dowodzi to niezbicie, że zawsze najgorszym wrogiem

gierskie. Za niewskazane uważa autor puszczanie na wiosnę kuropatw w parach. Słusznie twierdzi, że kura jest trudna w wyborze ojca dla swoich piskląt, koguta narzucić jej nie można. Wiedziałem o tem z własnego doświadczenia i naocznie to stwierdziłem. W końcu marca widziałem jak na dłoni, jak kura biła i odpędzała koguta, stanowiąc już parę z innym. Z początku myślałem, że to dwa koguty biją się o kurę. Jakież było moje zdziwienie, gdy dojrzałem wyraźnie podkówki na piersiach i skonstatowałem, że wybrany kogut stał sobie spokojnie na górce, a kura drugiego konkurenta przepędzała. Scena ta trwała dobre dziesięć minut. Kogut wzgardzony nie chciał dać za wygraną. Bity, przepędzany przez kurę, odlatywał na jakie sto kroków i znowu powracał. Wkońcu musiał ustąpić i wynieść się na dobre. Wtedy dopiero kura powróciła do oczekującego na nią oblubieńca i, prowadząc, wraz z nim w po-

KONKURS FOTOGRAFICZNY 1929 R. „ŁOWCA POLSKIEGO".
5-TA NAGRODA.



„Stójka „Very". Fot. Zbigniew Wóycicki z Warszawy.

zwierzyny, nie wykluczając największych drapieżników, jest kłusownik. Nie dajmy wmawiać w siebie, pisze autor, że niema kuropatw, bo za dużo jest jastrzębi, srok, lisów i t. p., hr. D'Havrincourt w dobrach Lierville co wieczór zabijał po kilkanaście jastrzębi, przylatujących na noc na wysokie drzewa do parku, a pomimo to kuropatwy liczono tam na tysiące.

W rozdziale, dotyczącym hodowli kuropatw, autor najwięcej zaleca zbieranie jaj z gniazd wykoszonych, a po wylęgnięciu się piskląt powierzanie ich przydanym kogutom kuropatwim, których winno się mieć zapas w wolierach. System ten francuski stosowany jest u nas w Krośniewicach (patrz „Kuropatwy", mój artykuł w Łowcu Polskim Nr. 9 i 10 z 1925 roku). Czerwoną kuropatwę francuską opisuje jako słabą, łatwą do zabicia z powodu niskiego lotu i trudną do hodowli. Podstawą polowań są zwykle szare kuropatwy. Dla odświeżania krwi radzi kuropatwy wę-

la wyciekła. Francuzi zwracają uwagę na niebezpieczeństwo masowego chowu kuropatw, w szczególności na niewielkich rewirach. Konstatują, że kuropatwy już odchowane, puszczone na teren łowiecki, po polowaniu wynosiły się i więcej nie powracały. Hr. D'Havrincourt, jak i nasz nieodżałowanej pamięci Jan Sztolcman, poucza, że podkówka na piersiach nie jest nieomylnym znakiem dla odróżnienia koguta od kury. Kury miewają również podkówki (mojem zdaniem, zawsze mniejsze i mniej wyraźne), rozpoznać je najlepiej po formie główki, która u kury jest zawsze cokolwiek węższa i więcej wydłużona. Autor poleca również podsadzanie jaj kuropatwich pod specjalne, małe kury domowe, które nazywa „Poules Naines". Sądzę, że to są kury japońskie, małe o czarnej skórze. Stosowane były one z dobrym rezultatem w Pamiętnie pod Skierniewicami. I ja miałem kilka takich kur w bażantarniach. Dobre są, bo lekkie

i nie gniotą jaj, których mogą wysiadywać od piętnastu do dwudziestu sztuk. W Pamiętnie kury te dziczały i młodych nie opuszczały. Na polowaniach wraz ze stadem przelatywały przez linję strzelców i często zabijane były wraz z kuropatwami, ku wielkiemu zmartwieniu hodowcy. Ja tego nie skonstatowałem. Widocznie moje kury japońskie były zbyt oswojone, bo w polu przebywać nie chciały, wciąż z koszonych koniczyn należy spędzać na właściwy teren. Gdy już rozstawia się myśliwych, pamiętać o tem, żeby za ich plecami niedaleko znajdowały się miejsca przykryte, gdzieby kuropatwy zapadając, nie mogły się zaraz zebrać. Pośpiech jest konieczny i dlatego najlepiej mieć dwie naganki i jednego prowadzącego na koniu, który galopem przejedzie na następne pędzenie, obstawione zawczasu przez na-

KONKURS FOTOGRAFICZNY 1929 R. „ŁOWCA POLSKIEGO".
6-TA NAGRODA.



„Trop jelenia". Fot. Zygmunt Metzig z Poznania.

kręciły się koło domu, wreszcie porzucały młode kuropatewki, czego kogut kuropatwi nigdy nie zrobi.

Idealnym terenem na pędzone kuropatwy są pola okopowe i zarośla. W młodych zagajnikach, łąkach z krzakami, łozami, olszaczkami — powinno się koncentrować polowania. Ażeby ono było udatne, należy polowanie przygotować. Najważniejszą sprawą jest rozbicie stad. Kuropatwy z gołych pól, z ciernisk, ganiaczy. Naganka powinna być rozstawioną w wielkie półkole od pierwszej do ostatniej strzelby. Co trzeci, czwarty naganiacz powinien mieć czerwoną chorągiewkę, obsadzoną na długiej, leszczynowej tyczce, trzymanej do góry. Dużo razy widziałem, jak zdezorjentowana kuropatwa, zrywając się w środku pędzenia w stronę naganki, zawracała w powietrzu od chorągiewek i przeciągała na linję myśliwych.

Na stanowiskach w miejscach otwartych zasłony dla myśliwych są konieczne. Kuropatwy są zmyślne i ostrożne, szczególnie już strzelane. Słuch mają wyborny, a znajdując się przy samej ziemi, słyszą zdaleka idącą naganke doskonale i wyciekają w przeciwnym kierunku. Myśliwi tedy winni bardzo cicho zachowywać się na stanowiskach. Francuzi z powodzeniem używają trąbki w nagance, twierdząc, że kuropatwy boją się więcej jej głosu niż chorągiewek. Zasadą naganki na kury jest, ażeby nie pędzić ich kilka razy w tym samym kierunku, pozostawiając nagankę na miejscu. Kury dwa razy spędzone w jednym kierunku, za trzecim razem, bez względu na chorągiewki lub głos trąbek, wzbiją się w górę i polecą z powrotem ponad głowami naganiaczy, unikając w ten sposób linji strzelców. Znamienne jest, że jeżeli z samego początku pędzenia pierwsze stado zerwie się i nie pociągnie na myśliwych, lecz przeleci przez prawe lub lewe skrzydło naganki, to 90% pozostałych stad wyniesie się z pędzenia tą samą drogą. To samo się dzieje z pojedyńczą kuropatwą, zrywającą się od stada. Tam, gdzie poleci pierwsza, po chwili polecą i pozostałe ze stada. W takich wypadkach krańcowy myśliwy powinien przesunąć się prędko do miejsca, gdzie pierwsze kuropatwy przerwały nagankę. Francuzi zalecają nawet przesunąć w tym celu całą linję myśliwych o kilka stanowisk. Ważną jest rzeczą pędzić kuropatwy o ile możności z wiatrem. Plecione z wierzbiny lub leszczyny parawaniki na zasłony, stawiać należy na stanowiskach już na kilka tygodni przed polowaniem, żeby się kuropatwy z nimi opatrzyły. Duże pola okopowych dobrze jest zaraz przy sadzeniu buraków czy kartofli podzielić na kilka części poprzecznymi paskami końskiego zębu. W czasie polowania ma się już gotową, doskonałą zosłonę. U siebie w Brwinowie pole buraków długie na 1500 mtr. dzieliłem na połowę, sadząc na wiosnę wpoprzek trzy rządki końskiego zębu na łokciowym pasku.

Obszar niezbędny dla polowania na pędzone kuropatwy zależny jest bardzo od rodzaju terenu, pory roku i ilości kuropatw. We Francji na gołych polach robią naganki na trzy do czterech kilometrów, opolowując kilka tysięcy hektarów. W miejscowościach przykrytych wystarcza przestrzeń 600 do 1000 ha., długość pędzenia minimum 500 do 600 mtr. U nas przestrzenie wielkie nie są potrzebne. Kuropatwy nie są tak dzikie i płochliwe jak we Francji. Polować powinno się w normalnym roku lęgowym pomiędzy 20-ym września a 30-ym października. W tym czasie można jeszcze kury opanować, to znaczy rozbić stada i dostać je tam, gdzie się chce. W miejscach przykrytych należy robić małe naganki około 300 — 400 mtr. długości. Odległość stanowisk w polu 30 — 40 mtr.; w zagajnikach i wyższych zaroślach 20 — 25 mtr. We Francji stawiają zwykle po jednej strzelbie na skrzydłach, zatykając pomiędzy pierwszym i ostatnim strzelcem na linji a flankowymi wysoką chorągiew. Jest to zawsze niebezpieczne, chyba że flankowi stają o paręset kroków od krańcowych stanowisk. Wtedy i chorągiew jest zbyteczna. Listopadowe polowania już bez okopowych i po zebranych potrawach — nie mogą dać dobrego rezultatu, oczywiście z wyjątkiem naganek w zaroślach o dobrem podszyciu. Dla udatnego polowania uważam 900-morgowy obwód łowiecki, obfitujący w kuropatwy, za zupełnie wystarczający. Na takim obszarze z okopowizną, zagajnikami, lub remizami, przy dwudziestu stadach kuropatw, jeden dzień, w 8 strzelb, powinien dać około 150 kuropatw. Ładne to już i klasowe polowanie. Oczywiście w wyjątkowych miejscowościach na większych obszarach dochodzi się u nas i do 1000 sztuk. Rekordowe polowanie we Francji u księcia de Doudeauville w dobrach Esclimont, departament Beauce, dało przed wojną I-go dnia kuropatw 1210, II-go 750 i III-go 620 — razem w trzy dni 2580 kuropatw, w czem 30% czerwonych. Przeciętne dobre polowanie we Francji daje dziennie 300 kur. W Polsce bodajże rekord dzierżą stale Krośniewice. Przed wojną znane naganki na kury były w dobrach Wilanowskich, w Nieborowie, w Bolimowie, w Starej Wsi, w Młochowie i u mnie w Brwinowie.

W klasycznych polowaniach na pędzone kury powinno się unikać chodzenia ławą. Strzały do zrywających się ptaków psują „dryg". Po strąceniu rozpędzonej kury na stanowisku, strzał do podrywającej się nie robi przyjemności. To dobre dla fuszerów. Prócz tego w ławach niema nigdy porządku. Chłopcy uganiają się za zabitymi ptakami, ma się ich przed sobą i za sobą, niewiadomo gdzie strzelać. To jeden wielki rozgardjasz. W dodatku co chwila ławę trzeba zatrzymywać dla podnoszenia zwierzyny, w okopowych dużo kuropatw przepada, psy się gorączkują, przytem puszczać ich nie należy. Niestrzelający myśliwi w tym czasie niecierpliwią się, na pozostałych czekać nie chcą — linja się psuje — dla prowadzącego to istne piekło. Unika się tego wszystkiego na stanowiskach. Trzeba tylko rachować, ile sztuk upadło, a po skończonej nagance ma się czas na odszukanie zabitych. Nawet w czasie naganki można puścić do zaaportowania spokojnego i wytrawnego wyżła, który, widząc padającą sztukę, momentalnie ją odnajduje i do rąk przynosi.

Nie przypominam sobie, żeby kto pisał o pędzeniach na kuropatwy w Łowcu Polskim po wojnie. W kronikach myśliwskich również nie znajduję notowanych rezultatów z takich polowań. Niechże więc mój artykuł zachęci naszych myśliwych do jaknajintensywniejszej ochrony i wzmożonej hodowli kuropatw, ażeby mogli u siebie z powodzeniem i bez uszczerbku dla zwierzostanu urządzać polowania na pędzone kuropatwy. Dostarczą one dużo wewnętrznego zadowolenia gospodarzowi i będą prawdziwą ucztą myśliwską dla jego gości.

STANISŁAW LILPOP.

DZIWNY GŁUSZEC.

W połowie września r. b. gajowy Nadleśnictwa Leśniańskiego (puszcza Białowieska), Mikołaj Dubko, zobaczył podczas obchodu lasu, spacerującego po drodze oddz. 545 głuszca-koguta. Głuszec przy przybliżeniu gajowego nie okazywał żadnej ochoty do poderwania się, lecz spokojnie kroczył dalej, zbierając po ziemi nasiona chwastów i kamyczki. Mikołaj Dubko, podejrzewając, iż głuszec jest postrzelony, zaczął podchodzić go, a w miarę tego, jak się zbliżał, podejrzenie przechodziło stopniowo w przekonanie, gdyż ptak posuwał się stale w pewnej odległości na nogach. Zniecierpliwiony, rzucił wreszcie w kierunku głuszca grudkę ziemi, co wywołało nieoczekiwany skutek, gdyż ptak poderwał się, wzbił się ponad korony drzew i siadł na wierzchołku jednego z nich, a po chwili odleciał w las. Od tego czasu dawał się on widzieć w oddziale 545 i sąsiednim 579, nie okazując na widok ludzi żadnej bojaźni, a przeciwnie — dużą skłonność do obcowania z nimi. Gdy w oddziale 579 rozpoczęła się praca na zrębie, głuszec coraz częściej zaczął miejsce to nawiedzać, objadając pączki z koron spuszczanych sosen. Upodobał sobie szczególnie jedną piłę, w której pracowali Mikołaj Denisiuk i Aleksander Abramczuk, przybyli do puszczy z Wołynia, jako robotnicy leśni, a zamieszkujący na pobliskiej osadzie Podcerkiew. Gdy tylko wzmiankowani rozpoczynali zrana pracę, na pierwszy stuk ich siekier przylatywał głuszec i przebywał w ich towarzystwie do zmroku, sadowiąc się na noc w koronie jednego z pobliskich drzew. Obserwowano wprost nieprawdopodobne, a jednak autentyczne sceny, gdy głuszec podchodził do leżącej sosny, którą przerzynali robotnicy, wskakiwał na nią i spacerował po niej, przeszkadzając nieraz w pracy. Był wypadek, że gdy brakarz, p. Jan Maćkowiak, przysiadł na jednej z kłód, robiąc zapisy do numerownika, głuszec wskoczył na nią, podszedł do p. M. i najspokojniej począł zdziobywać muchy, które siadały na kurtce na plecach. Z reguły, po spuszczeniu danego drzewa, głuszec biegł zawsze ku jego koronie i z zadowoleniem objadał pączki. W przerwach zbierał po ziemi żołędzie, owady, nasiona chwastów i kamyczki. Gdy wspomniani robotnicy, z tej czy innej przyczyny, nie zjawili się do pracy, głuszec trzymał się (nie tak blisko jednak) w pobliżu innych robotników, pracujących na tym samym zrębie.

W niedzielę i święta, gdy pracy w lesie nie było, nie pokazywał się na zrębie zupełnie. Należy zaznaczyć, że głuszec był stale obserwowany, a robotnicy mieli nakazane nie czynić mu najmniejszej krzywdy. Tak trwało do dn. 12 listopada, gdy, ze względu na duży już rozgłos, zachodziła poważna obawa, że ktoś jednak może go schwytać lub zabić. Ponieważ i sami robotnicy obawiali się odpowiedzialności, więc jeden z nich (Jan Olszewski z Czerlanki) schwytał go rękami i odniósł na osadę do leśniczego, p. Bronisława Kruka. Gaj. Mikołaj Dubko i robotnicy zdecydowali się na to dopiero po kilkudniowych próbach odstraszenia głuszca od ludzi, co jednak nie dawało rezultatu, gdyż głuszec jedynie mruczał i bił dziobem o ziemię lub kłodę, okazując w ten sposób swoje niezadowolenie. Przyniesiony na leśniczówkę i osadzony w jednym z jej pokoi czuł się trochę nieswojo, nie okazując jednak żadnych zamiarów ucieczki i żadnych obaw przy zbliżaniu się ludzi, a nawet braniu go na ręce. Gdy nakarmionego wynoszono do lasu i sadzano na jakiej kłodzie, to spokojnie spacerował, stał albo siedział na niej. Wiek jego, sądząc po dość jasnym dziobie, stosunkowo małej jeszcze, białej



Do art. „Dziwny głuszec".



Do art. „Dziwny głuszec".

pstrokaciźnie i nogach, można szacować na 2 lata. Załączone fotografje, sporządzone na polecenie wicedyrektora Dyrekcji Lasów Państwowych w Białowieży, p. J. Zawadzkiego, przedstawiają właśnie kilka tego rodzaju ciekawych momentów. Głuszec w dniu 14 z. m. został odesłany do ogrodu zoologicznego w Warszawie.

J. MIŁOBĘDZKI.

W OBRONIE JELENIA W KARPATACH.

Rezultat tegorocznych łowów w Karpatach smutne mi nasunął refleksje. Przypomniały mi się dwa artykuły, drukowane w roku bieżącym w Łowcu Polskim, pierwszy w 15-tym numerze p. t. **„W sprawie jelenia karpackiego"** p. H. Knothe, drugi w 29-tym p. t. „W obronie jeleni karpackich" p. Dra W. B.

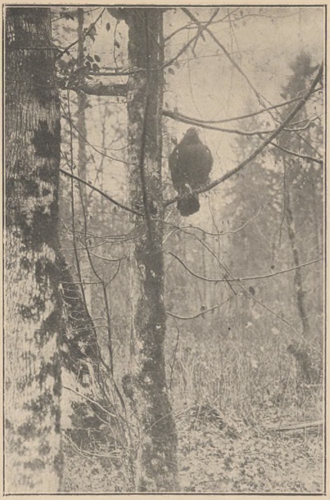
Obaj Autorowie, znakomici myśliwi i znawcy Karpat, godzą się w swych zapatrywaniach na przyszłość króla naszych gór, i są zdania, że jeżeli nie przedsięweźmie się energicznej akcji w jego obronie, grozi mu rychło, jeżeli nie wytępienie, to napewno degeneracja.

Obaj ci Panowie mają słuszność, przyznaję Im ją w zupełności, chociaż z wnioskami p. Dra W. B. nie zupełnie się zgadzam. W roku bieżącym na jakie 30 do 40 ubitych we wschodnich Karpatach byków, ledwie kilka było takich, których wieńce można z pietyzmem na ścianie powiesić! Reszta, to z niemowlęcych ledwie pieluchów wyzwolone osobniki! Zarzut ten nie dotyczy na szczęście małopolskich naszych myśliwych, który swą cnotą myśliwską i powściągliwością w strzelaniu jaknajlepsze sobie wystawiają świadectwo i z których 90% wraca zwykle z Karpat bez strzału, lecz tych przygodnych strzelaczy, między którymi jest kilku z dalekich stron przybyszów, którym zdaje się, że wydzierżawiwszy rewiry karpackie, mogą w nich rządzić, jak się im podoba, bez względu na etykę łowiecką. Jest tych panów z roku na rok coraz więcej, przyjeżdżają i odjeżdżają nikomu tu nieznani, i przez nikogo niekontrolowani, i wywożą z Karpat często wieńce jelenie, zdatne chyba na guziki lub trzonki do noży. Tak być dalej nie może, jeżeli nie chcemy w niedługim czasie, jak słusznie pisze Dr. W. B., przemienić naszych Karpat na Las Wiedeński pod względem typu jeleniego. Cierpi na takim procederze nietylko przyszłość naszego królewskiego zwierza, cierpi też sława polskiego łowiectwa! Są między tymi cudzoziemcami i dobrzy, prawdziwi myśliwi, którzy chwałę Karpat po szerokim roznoszą świecie, wskutek czego napływ cudzoziemskich myśliwych do naszych gór rok rocznie wzrasta. Są do dziś dnia, niestety, dzierżawcami w Kalnicy ci dwaj myśliwi czescy, o których wspomina w swym artykule pan Knothe; co roku strzelają, co im pod lufę wpadnie, a co gorsze, że prawdopodobnie odnowią znów w przyszłym roku swoje dzierżawne na szereg lat kontrakty.

Ale wróćmy teraz do artykułów wspomnianych tu dwuch Autorów i rozpatrzmy Ich, do ochrony przyszłości karpackiego jelenia zdążające wnioski.

„Zdaniem mojem" — pisze pan Knothe — „gospodarka łowiecka na ziemiach Rzeczypospolitej Polskiej, obejmująca hodowlę, opiekę i kontrolę polowania na jelenie, powinna zostać ujętą przez silne i energiczne ręce. By stworzyć silną w tym celu organizację, należy przedewszystkiem: 1) zwołać zebranie organizacyjne i 2) zaprosić na nie: a) Delegatów z Ministerstwa Rolnictwa i Dyrekcji lasów państwowych we Lwowie; b) delegatów powiatowych z obszarów, obejmujących Karpaty; c) znanych myśliwych i dzierżawców terenów karpackich; d) ludzi, znających się na hodowli jeleni i e) ludzi pełnych inicjatywy i chętnych do pracy na tem polu. Ci wszyscy powinni i napewno potrafią stworzyć Towarzystwo opieki nad jeleniem w Karpatach".

„Towarzystwo takie powinno posiadać ingerencję



Do art. „Dziwny głuszec".

na wszystkie tereny, bez względu na to, czy jest to teren rządowy, prywatny, lub dzierżawny od rządu. Instytucja taka powinna nosić charakter półurzędowy, t. j. współdziałać jako siła pomocnicza z Dyrekcją lasów państwowych we Lwowie".

Myśli tu wyżej wyrażonej należy jaknajgoręcej przyklasnąć i tylko ubolewać trzeba, że „Polski Związek Stowarzyszeń Łowieckich", któremu Autor inicjatywę na tem polu proponuje, dotąd nad tą sprawą się nie zastanawiał i że ona na martwym pozostała papierze. Nie zgodziłbym się tylko z Sz. Autorem, z dalszymi Jego wnioskami co do ściągania zagranicznych myśliwych do Karpat. Napływ ich i tak z roku na rok się zwiększa, a oferty ich za rewiry są tak hojne, że najzamożniejsi z nas z nimi nie mogą konkurować. Wróci do tego, co było przed wojną, że polowanie w Karpatach było przeważnie w rękach obcych, a dla polskich myśliwych znajdowały się tylko okruchy.

Od siebie dodam, że proponowane przez Autora Towarzystwo opieki nad jeleniem karpackim miałoby też obowiązek kontroli nad tem, jak się w Karpatach poluje i co się na rykowisku strzela, i bezapelacyjną egzekutywę w wymierzaniu kar za nielicujące z etyką łowiecką czyny, t. j. za strzelanie jeleni niełownych. Na to jednak potrzeba, by Ministerstwo Rolnictwa w kontraktach dzierżawnych umieszczało warunek, zmuszający wszystkich dzierżawców rewirów karpackich do przedkładania temu Towarzystwu, względnie przez nie ustanowionej Komisji, wszystkich wieńców ubitych jeleni, rok w rok, po każdem rykowisku, pod rygorem za pominięcie tego obowiązku, lub za ubicie niełownego jelenia, poraz pierwszy, dotkliwej kary pieniężnej, poraz drugi, unieważnienia kontraktu. Tak postępuje rząd w Prusach Wschodnich z rewirami, posiadającymi łosie, i dzięki powyżej wymienionym rygorom, potrafił on zniszczony wojną zwierzostan doprowadzić w przeciągu lat kilku do kwitnącego, dzisiejszego stanu. **Wniosek ten mój, jako dodatkowy do wniosku p. Knothe, decydującym czynnikom w Ministerstwie Rolnictwa i p. Referentowi łowieckiemu przy tem Ministerstwie, jako też naszej centralnej Władzy łowieckiej jak najusilniej do rozważenia podaję.**

Wniosek p. Dra W. B., mający na celu ochronę jelenia karpackiego, w innym idzie kierunku. Pan Dr. W. B. głosi oddawna swą tezę przeciw łowom na rykowisku, a w swoim artykule z 15-tego numeru Łowca Polskiego ustąpił o tyle, że pozwoliłby myśliwym polować tylko w drugiej połowie rykowiska, t. j. od 1 do 15 października. P. Dr. W. B. jest wogóle przeciwny wykonywaniu polowania na zwierzynę w czasie jej godów weselnych, wychodząc z zasady, że wtedy należy ją zostawić w spokoju. Ta teza w zasadzie bardzo słuszna, nie da się jednak ogółowo w łowiectwie zastosować. Od czasów pierwotnych istnieje w przyrodzie prawo silniejszego, prawo dżungli. W kulturalnem łowiectwie myśliwy nakłada na nie jednak pewne więzy, krępuje według potrzeb hodowli i etyki. Od czasów zamierzchłej przeszłości myślistwo wyzyskuje dla swoich celów momenty erotyczne pewnych gatunków zwierząt; jest to prawo tradycjami i obyczajem uświęcone, i tego prawa myśliwy się nie zrzeknie, raz, że daje mu ono wielką, myśliwską rozkosz, po drugie, że w zastosowaniu do pewnych gatunków zwierzyny jest ono koniecznością. Na obu półkulach naszego globu poluje się na jelenie i łosie w czasie ich rui i na te gatunki zwierza w ten sposób ujęte łowy uważa się za odpowiednie. Zgodziłbym się z Sz. Autorem częściowo na Jego tezę przy innych gatunkach zwierzyny, na rogacze (sarny) lub jelenie nizinne, dostępne dla myśliwego w każdej porze roku, ale doprawdy nie wiem, jak sobie On wyobraża łowy na jelenia karpackiego poza czasem jego godów! Spotkanie się z tym zwierzem w innej porze roku jest dziełem przypadku, a nie przypuszczam, by takiego pokroju łowiec, jak Sz. Autor, dał swoje placet na branie miotów na otropionego byka karpackiego na śniegu!

Paragraf prawa łowieckiego, któryby zamknął polowanie na jelenie karpackie podczas rykowiska, wydałby na nie wyrok niechybnej zagłady! Myśliwy przestałby się rewirami karpackimi interesować, a zato polowałby w nich kłusownik i wilk. Szanownemu Autorowi zapewne wiadomo, że na początku drugiej połowy zeszłego stulecia jeleń w Karpatach niemal legendarną był postacią. Niedźwiedź od niego był o wiele pospolitszą zwierzyną. Za moich lat pierwszej młodości, gdy się łowiectwem żywo interesowałem, nie znałem bodaj nikogo, ktoby się mógł ubiciem jelenia karpackiego poszczycić, a pogromców niedźwiedzi znałem kilku. I dopiero od chwili, w której nasi polscy panowie zaczęli dzierżawić rewiry karpackie i polować na rykowiskach, stan jeleni w szybkiem tempie zaludniać począł puste, karpackie prabory. Nie zgodziłbym się nawet z Sz. Autorem na Jego tezę z ustępstwem dla daty 1 października.

Początek i koniec rykowiska, czas jego trwania, jak i chwilę najwyższego napięcia, opatrzeć możemy datami bardzo chwiejnymi. Zależą one od stanu pogody i kondycji zwierzyny. Posiadam wieniec 14-taka, ubitego w Skolem pod datą 20 września 1912 r. wśród pełnego ryku, w przeciwieństwie czego zacytuję choćby rok bieżący, w którym, jak mnie myśliwi informowali, byki w niektórych rewirach dopiero po 1 października zaczęły na dobre ryczeć. Czas łowów na ryku w Karpatach żadnym paragrafem unormować się nie da. Przypomina mi się w tej chwili następujący, zupełnie autentyczny incydent. Pewien zarządca rewiru w zachodnich Karpatach otrzymał od dzierżawcy polowania, na depeszę, donoszącą mu, że jelenie zaczęły ryczeć, i wzywającą go do przyjazdu, — brzmiącą dosłownie odpowiedź: „Proszę rykowisko wstrzymać na tydzień, prędzej przyjechać nie mogę".

Wiadomo chyba wszystkim, że początek rykowisku dają najstarsze osobniki płci obojga. Odbywa się ono tajemniczo i milcząco prawie, w regule już od połowy września. Myśliwi zjawiają się w górach pod koniec miesiąca, gdy rykowisko dosięga swego najwyższego napięcia. W tym czasie stare, kapitalne byki wywiązały się już po większej części ze swych obowiązków reproduktorskich. Zamknięcie polowania do 1 października byłoby bezcelowe.

Degeneracji jelenia karpackiego nie należy kłaść na karb polowań rykowiskowych. Zło leży w tem, że nie wszyscy myśliwi, w Karpatach polujący, godni są być kapłanami kultu łowieckiego w tej Świątyni Przyrody, i że gospodarka łowiecka nie stoi tam w wielu wypadkach na wysokości zadania, nie jest jednolitą, jak różną jest też kultura łowiecka w poszczególnych rewirach i etyka łowiecka poszczególnych właścicieli i dzierżawców prawa polowania. Zło leży też i w tem, że w żadnym prawie rewirze karpackim nie ostrzeliwuje się młodych byków o lichej strukturze i gatunku wieńca.

Bez względu na to, jakie wysnujemy wnioski co do sposobów ratowania jelenia karpackiego od degeneracji, musimy przyznać całą słuszność obu Sz. Autorom wspomnianych artykułów co do meritum sprawy i wyrazić Im wdzięczność myśliwskiego naszego zespołu za zwracanie uwagi na tak doniosłą sprawę dla łowiectwa polskiego.

Bezspornie sprawa ta jest aktualna i bardzo na czasie. Za lat kilka może być już za późno. O ile w ostatnich latach stan jeleni w Karpatach znacznie podniósł się liczebnie, o tyle podupadł jakościowo. Kapitalnych byków prawie że już się nie spotyka i strzela się jelenie młode, jelenie przyszłości, byki, które dopiero za lat kilka mogłyby się stać zdolnymi reproduktorami zwierzostanu. Że tak jest, jak piszę, potwierdzają smutne i coraz smutniejsze rezultaty łowów jesiennych.

A teraz streszczę wnioski, jakie w myśl obu wspomnianych Autorów i mego niniejszego artykułu, należałoby wziąć jaknajprędzej pod rozwagę:

Powołać do życia Towarzystwo opieki nad jeleniem w Karpatach z siedzibą we Lwowie w myśl wniosku p. Knothego.

Postulaty naszego łowiectwa, które Towarzystwo to wykonaćby miało, byłyby następujące:

1. Przedstawić Ministerstwu Rolnictwa konieczność wprowadzenia w przyszłych kontraktach dzierżawy polowań w rewirach rządowych wobec dzierżawców, obowiązku przedkładania wieńców ubitych jeleni po każdorocznem rykowisku, specjalnej komisji łowieckiej we Lwowie pod rygorem kar pieniężnych i rozwiązania kontraktu.

2. Spowodować w Ministerstwie akcję wydzierżawienia prawa polowania na jelenie w rezerwatach okręgów gospodarczych w Karpatach z zastrzeżeniem prawa odstrzału jednego byka rocznie dla zarządcy okręgu.

3. Zainteresować i wciągnąć do akcji właścicieli górskich rewirów prywatnych.

4. Założyć hodowlę rasowych tropowców górskich.

Nad powyższymi wnioskami zechcą się nasze czynniki miarodajne w najkrótszym czasie zastanowić. Potrzebnej inicjatywy w tej sprawie oczekujemy od centralnego naszego przedstawicielstwa w Warszawie. Ułożenia statutu dla przyszłego Towarzystwa podjąć się mógłby, jako najbliżej sprawy stojący, Wydział Małop. Tow. Łowieckiego.

Chciałbym jeszcze poruszyć tu jedną sprawę, z łowami na jelenie ściśle związaną, mianowicie określić bliżej znaczenie definicji: „Jeleń łowny", jako, że pod tym względem pozwalają sobie myśliwi na dość „poetyczną" licencję.

Łowny jest taki jeleń, którego wieniec przedstawia wartość zdobyczy łowieckiej (trofeum), a staje się on takim z chwilą uzyskania pełnego, fizycznego rozwoju, czyli po ukończeniu 8-ego roku życia. Odtąd kroczy byk jeleni ku drugiemu etapowi swego żywota, do szczytu swej doskonałości, czyli wartości kapitalnej, którą zdobywa prędzej lub później, zależnie od warunków życiowych. Między 17-tym a 20-tym rokiem życia przechodzi on na drugą stronę szczytu i chyli się już ku starości.

W regule więc byk dopiero 8-letni daje myśliwemu w nagrodę za pozbawienie go życia dobry wieniec, jako wielkiej chwili zaszczytną pamiątkę.

Jako minimum wagi dla dobrego wieńca przyjąć trzeba 6 kg., jako minimum objętości głównych pni między odnogą nadoczną a środkową 16 cm. Wieniec taki posiadać musi koronę, składającą się z trzech odnóg, a więc co najmniej cechę 12-taka, względnie koronowego 10-taka. Takie jest kryterjum do oceniania „łownego byka".

To jest teorja, ale w jaki sposób młody myśliwy, lub nowicjusz w łowach na rykowisku, może w praktyce, a więc na oko, skwalifikować wartość myśliwską podchodzonego przez siebie byka? Otóż pozwolę sobie zauważyć, że myśliwy taki (wiem to ze swej własnej praktyki z czasów swoich nowicjuszowskich w górach) popełnia zasadniczy błąd, iż ujrzawszy jelenia, cel swych myśliwskich zabiegów, nie przypatrzy mu się spokojnie gołem okiem, nie obejmie niem całej jego postaci, lecz chwyta odrazu za szkła i przez nie bada tylko wieniec, rachując odnogi. Wystarcza już zwykle w tej chwili gorączką myśliwską dość wybujała fantazja strzelca, by przecenić siłę wieńca; powiększają go jeszcze szkła w sposób fantastyczny, szczególnie w czas mglisty, a rezultatem tego jest strzał i ubicie dzieciaka!...

Jelenia należy ocenić gołem okiem, przypatrzeć się mu spokojnie. Słabego pozna się wtedy łatwo po braku doskonałości linji w całym widzianym obrazie, popsuje ją słaby, nikły wieniec w stosunku do wielkości zwierzęcia; i wtedy dopiero, jeżeli uznamy, że wieniec nie psuje obrazu, należy się mu przez szkła przypatrzeć dokładnie. Cechą dobrego wieńca są zawsze silne i długie odnogi oczne (najniższe). Nieomylną też cechą łownego byka jest ruch wahadłowy, który wykonywa jego ciężki wieniec, gdy idzie stępa. Gdy myśliwy tych kilka uwag zapisze w pamięci, nie spotka go przy strzale do króla gór żadna przykra pomyłka.

ALBERT MNISZEK.



WZOROWA GOSPODARKA ŁOWIECKA.

W numerze „Łowca Polskiego" z dn. 30 listopada r. b. (Nr. 48), w rubryce p. t. „Kronika Myśliwska" zamieszczono krótką wzmiankę o polowaniu odbytem u p. Henryka Steinhagena w maj. Koszelewie pod Gąbinem, i w paru słowach doniesiono o pomyślnym rezultacie tegoż polowania. Uważając jednakże, iż ta krótka wzmianka o tak wspaniałem, udatnem i umiejętnie zorganizowanem polowaniu, jest niedostateczna i nie zdoła zwrócić na siebie uwagi czytających, a tem samem nie pouczy ich o racjonalnem i przykładnem urządzeniu polowania, pozwalam sobie polowanie to opisać szerzej i zwrócić uwagę na dodatnie jego strony i płynące zeń korzyści dla gospodarki łowieckiej w kraju.

Na dodatni wynik polowania wpłynęła przedewszystkiem w znacznej mierze wzorowa gospodarka łowiecka, kwitnąca na terenach p. Steinhagena.

P. Steinhagen jest właścicielem i dzierżawcą terenów łowieckich o przestrzeni 3.700 mórg.

W tem posiada: własnego terenu leśnego	441 mórg	
„ własnych pól ornych . .	506 „	
Razem		949 mórg
Dzierżawi majątek dworski, zawierający	720 mórg	
oraz las maj. Gąbina i pola chłopskie	2.031 „	
Razem		2.751 „
Co ogółem stanowi		3.700 mórg

Na tym terenie opolował w dniu 18.XI r. b. w 12 strzelb:

I. część własnego i Gąbińskiego lasu, z małymi kawałkami wcinających się pól dworskich, w 9 gonach, około 550 mórg, na których zabito 124 zające, 68 bażantów, 15 król., 2 kur. i 1 słonkę.

II. kocioł na polach własnych i dzierżawnych, około 600 mórg, na których zabito 172 zaj. i 5 kur.

III. kocioł na polach chłopskich, około 700 mórg, na których zabito 76 zaj. i 8 kur.

Razem więc na przestrzeni 1.850 mórg, zabito 372 zające, 68 bażantów, 15 król., 15 kur i 1 słonkę.

(Do rogaczy nie strzelano wogóle, choć było ich sporo).

Opolowano 50% ogólnych terenów, a więc 50% całkowitej zwierzyny, pozostawiając na drugiej połowie terenu zwierzynę zdrową, zdatną do dalszego rozmnażania się.

Jako tereny nieopolowane pozostały przeważnie pola i niskie, dwuletnie kultury leśne, dworskie, graniczące bezpośrednio z Koszelewskim lasem dworskim, dworskiemi polami opolowanemi i zabudowaniami gospodarczemi. Obszary te pozostawiono jako „matecznik", czyli tereny nieużywane do polowań, mające zapewniony spokój i bezpieczeństwo ze strony kłusowników, żyzne, jako obsiane oziminą i chronione pieczołowicie przez administrację majątku.

Taki system podziału terenów jest stosowany przez p. Steinhagena już od wielu lat i daje dobre rezultaty w postaci obfitego rozmnażania się zwierzyny i dostarczania jej w dostatecznej ilości do upolowania.

Muszę z kolei wyjaśnić przyczynę, z powodu której p. Steinhagen, pomimo prowadzenia przez niego gospodarki łowieckiej w wyżej opisany sposób, nie mógł osiągnąć podobnych rezultatów w latach poprzednich.

Największą w tym kierunku przeszkodą, do roku ubiegłego, była obecność sąsiednich rewirów, dzierżawionych przez myśliwych, wybijających zwierzynę w ciągu dozwolonego czasu prawie codziennie, i nieprzyczyniających się absolutnie do zapewnienia jej egzystencji i ochrony przed drapieżnikami.

Powyższa przyczyna wpływała decydująco w sposób ujemny na wyniki dotychczasowych polowań, gdyż szczupłość objektu w połączeniu z sąsiedztwem terenów eksploatowanych w sposób rabunkowy, dawały zupełnie mierne rezultaty. Przeciętnie zabijano tam około 150 sztuk zwierzyny na jednem polowaniu.

Dopiero od roku zeszłego p. Steinhagen, zdobywszy sąsiednie, a niewystarczająco zagospodarowane pod względem łowieckim tereny, i połączywszy je z dotychczasowymi, będącymi w jego posiadaniu rewirami, wykazał przez racjonalną gospodarkę i ochronę zwierzostanu, dodatnie rezultaty, i zdołał przekonać obecnych na polowaniu myśliwych, że kto chce i umie, ten może, chroniąc i rozmnażając zwierzynę, jednocześnie wtrojnasób powiększyć wynik polowania.

Dowodem racjonalnej gospodarki na terenach p. Steinhagena jest ilość wytępionych, w okresie od dnia

1 stycznia do dnia 18 listopada r. b. — drapieżników, a mianowicie: 1 lis, 1 kuna, 2 tchórze, 54 łasice, 43 psy, 87 kotów domowych, 75 jastrzębi (przeważnie upolowanych przy pomocy puhacza), 198 wron i 10 srok. Prócz tego złapano 6 kłusowników ze strzelbą, odbierając im broń, i zebrano 131 sideł na kuropatwy i 77 wnyków na zające.

Możność przeprowadzenia powyższej akcji ochronnej, jak również możność racjonalnej hodowli zwierzyny na swych terenach, zawdzięcza p. Steinhagen, jak sam się wyraził, przedewszystkiem nowej ustawie łowieckiej, dozwalającej na łączenie kilku terenów myśliwskich w większą jednostkę łowiecką.

Dzięki takiemu zespalaniu terenów łowieckich, rodzą się korzyści nietylko dla myśliwych, lecz i dla kraju, albowiem otwiera się wówczas perspektywa zbywania zwierzyny, jako towaru, zagranicę, gdyż zabijając jednorazowo większe masy zwierzyny, łatwo znajdą myśliwi na nie chętnych nabywców, którzy wyeksportują je zagranicę i spowodują tem samem przypływ gotówki do własnego kraju.

Powyższa ewentualność wykluczona jest zupełnie przy polowaniach drobnych, na małych terenach, gdzie poszczególne sztuki ubite idą na użytek miejscowy, nie znajdując nabywców zagranicznych. Łowiectwo odbywane na dużych obszarach, prócz obfitych trofeów dla myśliwych i pożytku dla kraju, przynosi i wiele innych pomniejszych korzyści, jak: zapewnienie fabrykom amunicji zbytu ich towarów, zarobek włościan w postaci czynszu dzierżawnego lub zapłaty za naganke podczas polowań i t. d.

Można więc ogólnie powiedzieć, że opisane w „Łowcu Polskim" polowanie na terenach p. Steinhagena dało przykład:

a) racjonalnie prowadzonej gospodarki łowieckiej, przy której nigdy nie zbraknie zwierzyny do ubicia i zarazem do rozmnażania,

b) dobrze urządzonego polowania, które daje myśliwym sposobność użycia rozkoszy myśliwskich i przyjemne wspomnienia, a państwu przynosi korzyści materjalne.

Przykład powyższy nie powinien pozostać bez znaczenia, lecz powinien pociągnąć za sobą większość myśliwych i zachęcić ich do podobnej gospodarki łowieckiej na swych terenach, co przy dobrej ich woli, zrozumieniu swych powinności i przy nowej obecnie ustawie łowieckiej — nie okaże się zbyt trudnem do wykonania.

H. KNOTHE.

Z PRASY ZAGRANICZNEJ.

ŁOSIE NA ŁOTWIE.

Z powodu oficjalnych wiadomości departamentu leśnego o łosiach na Łotwie (wiadomości te przytoczyliśmy swego czasu w „Łowcu Polskim") p. A. v. Fersen pisze w „Deutsche Jaeg. Zeit.", że podana przez ten departament liczba 126 łosi jest przesadzona. Autor stwierdził to osobiście zeszłego lata i podaje:

Całkowicie zanikły łosie w miejscowościach, w których dawniej było ich bardzo dużo, a mianowicie w lasach dóbr Lubahn, Stomersee, stary i nowy Schwanenburg na południo - wschodzie Inflant. W lasach, należących do miasta Rygi; w dobrach Lindenberg, w Wielkim Kangernie na południu Inflant, gdzie dawniej było eldorado łosi, dzisiaj niema ani jednej sztuki. Na pograniczu dawnych Inflant jest zaledwie około 25 sztuk na pobrzeżu w Buesterwolde, w lasach dóbr Luhde — Ohlig — Wolfahrtslinde, oraz na północy między miastami powiatowemi Wolmar i Walk.

W Kurlandji było zawsze mniej łosi, niż na Inflantach. Obecnie resztki łosi przebywają tylko w olbrzymich kompleksach leśnych na północy Kurlandji (Dondangen, Ugatzlen) i nad jeziorem Angern (Rinseln, Riddelsdorf), gdy na południu i wschodzie Kurlandji już wcale niema łosi.

W Semgalji jest zaledwie kilka sztuk, lasy tamtejsze bowiem wyrąbano niemal całkowicie podczas wojny.

Autor wobec tego oblicza ilość łosi na Łotwie najwyżej na 50 sztuk.

Jednocześnie w Kurlandji dzięki starannej ochronie, liczba sarn, jeleni i dzików znacznie się powiększa. Łosie zaś pozatem degenerują wybitnie wskutek braku odświeżenia krwi, a to grozi dalszym ubytkiem tej zwierzyny, pomimo zakazu odstrzelania cieląt i łosz. Upilnowanie łosi przed kłusownikami jest również utrudnione z powodu ogromu obszaru leśnego, po którym one wekslują.

Autor kończy smętnie: „Dni łosi w mojej starej ojczyźnie nad Bałtykiem są ostatecznie policzone".

— **Import zwierzyny do Bawarji.** — Związek krajowy bawarskich kupców handlujących zwierzyną wystosował do władz ministerjalnych memorjał zabiegający o to, żeby przywóz dziczyzny zwierząt i ptaków do Bawarji, dozwolony obecnie tylko do dnia 15-go stycznia. — został przedłużony do końca lutego, ponieważ przywóz dziczyzny z zagranicy jest obecnie znacznie mniejszy, niż dawniej.

— **Pokaz angielski.** — Dnia 9 i 10-go października r. b., odbył się w Londynie w pałacu Kryształowym, 68-my pokaz doroczny angielskiego Kennel-klubu. Pokaz zgromadził olbrzymią ilość psów, gdyż 2.671 sztuk. Między innymi było 56 jamników krótkowłosych, 43 ostrowłosych, 88 owczarków i 64 dogów niemieckich. Do składu sędziów należeli także cudzoziemcy. Z angielskich psów myśliwskich najliczniej były rereprezentowane cocker - spaniele, w liczbie 151 sztuk, i settery irlandzkie — 91.

— **Odwołanie wystawy.** — Wyznaczona na dz. 9 i 10 listopada r. b. wystawa psów wszelkich ras w Berlinie, została odwołana z powodu panującej tam wścieklizny psów.

— **Czas ochronny w Gdańsku.** — Na obszarze Wolnego Miasta Gdańska rozszerzono czas ochrony na sarny - koźlęta do dn. 31 grudnia r. b. Czas ochro-

ny na przepiórki i pardwy szkockie rozpoczął się dnia 17-go listopada.

— **Podatek od psów w Prusiech.** — Pruski minister rolnictwa, dóbr i lasów wydał odezwę, w której pisze:

Świeżo znowu zjawiają się głośne skargi, że hodowla psów użytecznych i rasowych w ostatnich latach tak dotkliwie ucierpiała z powodu podatku od psów, iż daje się zauważyć znaczny ubytek psów rasowych. Z punktu widzenia gospodarki narodowej byłoby wielce pożądane obniżenie podatku od psów takich.

Minister poleca gminom i wydziałom powiatowym uwzględnić ten postulat przy uchwalaniu nowych podatków.

— **Letnisko dla psów.** — Po specjalnych cmentarzach dla psów przyszła obecnie kolej na specjalne letniska dla nich. Pierwsze takie letnisko powstało w pobliżu niemieckiego miasteczka Lankwitz i założone zostało przez tamtejsze towarzystwo przyjaciół zwierząt. Sanatorjum dla psów może pomieścić ponad 50 kuracjuszy. Wypoczywające na tem letnisku psy mają każdy osobną kabinę; duży, odpowiednio urządzony ogród, gdzie obok cienistych, gęsto zadrzewionych zakątków, są słoneczne place, sadzawki i fontanny; otrzymują doskonałe pożywienie i korzystają z fachowej opieki lekarskiej. Opłata od psa wynosi (na nasze pieniądze) od 3—4 i pół złotego dziennie. Letnisko dla psów cieszyło się tego lata znaczną frekwencją.

Ze Stowarzyszeń Myśliwskich.

Z POLSKIEGO ZWIĄZKU STOWARZYSZEŃ ŁOWIECKICH.

DZIAŁ URZĘDOWY.

Wydział Wykonawczy zatwierdził w dalszym ciągu następujące kandydatury na delegatów powiatowych:

Witold hr. Broel - Plater, Boniewo, p. Osiecz, na pow. Włocławek,

Jan Kopnowski, Rawa Mazow.,

Bolesław Branecki, Wielka Wola, p. Rawa Mazow., obaj na pow. Rawa Mazowiecka,

Witold Skarzyński, Świeciny, p. Ostrowy Warsz., płk. Kozubski, Kutno, obaj na powiat Kutno,

Stefan Piłsudski, Warszawa, Jerozolimska 57, na pow. Warszawa,

Józef hr. Stadjon-Rzyszczewski, Dolsk, p. Maciejów Wol., na pow. Kowel,

Alfred Zaborowski, Lipie, p. Krzepice, na pow. Zawiercie,

Kazimierz Polaski, Myszków, na pow. Częstochowa,

mjr. dypl. Medard Cibicki, Chełmno, 8 P. S. K., na pow. Chełmno,

red. Witold Kraszewski, Nałęczów, na pow. Puławy,

Konrad Łoziński, Hołynka, p. Sieniawka, na pow. Nieśwież,

ppłk. Jerzy Wroczyński, Biała Podlaska, dtwo 34 p.p. na powiat Biała Podlaska.

Zrzekli się mandatów delegatów powiatowych:

w pow. Przemyśl — inż. Stanisław Goleń,
w pow. Skole — Kazimierz Krzakowski,
w pow. Sieradz — Jan Nossarzewski,
w pow. Chojnice — dr. Tadeusz Drozdowski,
w pow. Chełmno — płk. Adam Ajdukiewicz.

MIĘDZYNARODOWA WYSTAWA ŁOWIECKA W LIPSKU.

W czasie od maja do września 1930 r. w Lipsku odbędzie się Międzynarodowa Wystawa Futrzana w połączeniu z Międzynarodową Wystawą Łowiecką.

Wystawę organizuje Międzynarodowy Związek Przemysłu Futrzanego (I. P. A.) w Lipsku oraz Związek Łowiecki Rzeszy w Berlinie. Wystawa zakrojona została na miarę wszechświatowego przeglądu okazów futrzanych i trofeów łowieckich. Łowiectwo Polskie na wystawę tę otrzymało również zaproszenie. Mając żywo w pamięci okazy zgrupowane w pawilonie łowieckim na Powszechnej Wystawie Krajowej, budzące niekłamany zachwyt nietylko polaków, lecz i cudzoziemców, — Polski Związek Stowarzyszeń Łowieckich postanowił zaproszenie na Wystawę w Lipsku przyjąć i zwrócić się z apelem do posiadaczy trofeów łowieckich o współudział w Wystawie. W najbliższym numerach Łowca Polskiego podamy szczegóły udziału w Wystawie.

ODEZWA.

NADCHODZI ZIMA.

Z dniem 1 grudnia padną pierwsze strzały myśliwskie. Przebiegają łąki i pola gromadki myśliwych, rozciągają się, czy to w długie łańcuchy o bocznych skrzydłach, czy też zakreślają wielkie koła, z których zdawałoby się żywa noga nie ujdzie. Tam znowu dwie falangi zmierzają ku sobie, nagle jedna zapada w ziemię i czaka na łup, który druga napędzi. Tak rozpocznie się polowanie na naszych łowiskach. Czy jednak wyniki będą takie, jak się spodziewano? I tak i nie. Tam, gdzie myśliwy dbał i otaczał zwierzynę opieką, nie baczył na trudy i koszty, spełniał swój obowiązek myśliwego, na takich łowiskach spodziewać się można poważnych rezultatów. Jak będzie jednakże wyglądało na łowiskach tych wszystkich myśliwych, którzy nie karmili i absolutnie nie dbali o zwierzynę. Czy ci pseudo-myśliwi powinni wogóle polować?

Znowu nadchodzi zima, czas niedoli i głodu dla naszej tak bardzo umiłowanej zwierzyny. Skutki zeszłorocznej, strasznej i srogiej zimy zdziesiątkowały nasz, już tak słaby zwierzostan. Więc apelujemy goraco do wszystkich myśliwych: „Już czas najwyższy pomyśleć nad urządzeniem odpowiedniej ilości paśników, lizawek i ścielisk".

ZARZĄD
WIELKOPOLSKIEGO ZWIĄZKU MYŚLIWYCH

DYMISJA JULJANA EJSMONDA.

Red. Juljan Ejsmond, kierownik referatu łowieckiego w Ministerstwie Rolnictwa, zwolniony został z zajmowanego stanowiska, w związku z zamieszczeniem w „A. B. C." artykułu p. t. „Udekorowane bydlę".

TOW. OCHRONY ŻUBRA.

(PRZYPOMNIENIE).

Ze względu na kończący się rok 1929-y, przypominamy PP. Członkom Sekcji Polskiej Międzynarodowego Towarzystwa Ochrony Żubra o upływającym terminie wpłacenia składki rocznej, abyśmy nie pozostawali w tyle za innymi narodami reprezentowanymi w tej instytucji.

Prosimy również o propagandę śród myśliwych, którzy jeszcze nie są członkami.

Składki kierować należy pod adresem:

„Kazimierz Szczerkowski, Poznań, P.K.O. 211 653".

Czasy ochronne.

(Przypomnienie zmian w grudniu).

Dnia 1-go grudnia: rozpoczyna się czas ochronny na **borsuki i kuropatwy** wszędzie, podług ustawy zasadniczej;

otwarcie polowania na **zające** - szaraki w powiecie **łódzkim, sieradzkim, wieluńskim,** w województwie **lubelskiem i poznańskiem.**

Dnia 2-go grudnia: otwarcie polowania **na zające** w województwie **tarnopolskiem.**

Dnia 10-go grudnia: otwarcie polowania na **zające** w województwie **pomorskiem.**

Dnia 15-go grudnia: rozpoczyna się czas ochronny na **łosie-byki,** podług ustawy zasadniczej; według min. rozp., nie wolno było polować rok cały.

Dnia 16-go grudnia: otwarcie polowania na **zające** w województwie **wołyńskiem,** oraz na **niedźwiedzie i rysie** w województwie **poleskiem.**

Dnia 31-go grudnia: ostatni dzień polowania na **sarny** - kozły w województwach **poznańskiem i pomorskiem** (podług ustawy zasadniczej);

ostatni dzień polowania na **zające** w powiecie **łódzkim,** w województwie **lubelskiem, pomorskiem i poznańskiem;**

ostatni dzień czasu ochronnego na **zające** w powiecie **piotrkowskim,** czyli, że tam wolno polować na zające od dnia 1 stycznia.

KRONIKA MYŚLIWSKA.

—S. S.— Knieja Dołhobyczowska pow hrubieszowskiego (własność pp. Zbigniewostwa Walewskich), zainaugurowała uroczyście sezon myśliwski dn. 18.XI.29, niezwykle udatnem polowaniem na dziki i lisy. W polowaniu brali udział pp.: Wanda Sękowska, Zbigniew Walewski, Zygmunt Donimirski, Seweryn Karski, Jan Gerlicz, Seweryn Gerlicz, Aleksander Czarnocki i Stanisław Sękowski. Strzelano wyłącznie kulami, a p. Jan Gerlicz, mając na rozkładzie 2 dziki i 2 lisy, zdobył królestwo dnia.

Rezultat ogólny: 10 dzików, 4 lisy.

Wspaniały ten wprost wynik, mało gdzie na ziemiach Polski spotykany, należy się słusznie Sz. Gospodarstwu, którzy wspólnym wysiłkiem i prawdziwem zamiłowaniem zasługują w pełnej mierze na miano przodowników łowiectwa powiatu hrubieszowskiego. W imieniu uczestników polowania składam na tem miejscu serdeczne podziękowanie za tyle wrażeń i emocyj przeżytych, za tyle gościnności doznanej, a pod adresem władców kniei Dołhobyczowskich rzucam apel: „Crescite et multiplicamini".

—o— Dnia 25 września odbyło się polowanie na kuropatwy w maj. Trembki, u pp. Gustawostwa Janaszów. W 10 strzelb zabito 399 kuropatw, 1 przepiórkę, 3 bażanty, razem 403 sztuki. Królem polowania był p. Andrzej Potworowski, mając na rozkładzie 76 sztuk.

— Dnia 30 listopada b. r. odbyło się jednodniowe polowanie przy udziale 11 myśliwych w maj. Chrząstów, hr. Henryka Potockiego. W dwóch sztreifach ubito 780 zajęcy, 38 królików, 42 bażanty, 61 kuropatw, 1 jastrzębia, razem sztuk 922. Polowanie prowadzone było pod każdym względem znakomicie.

—o— Dnia 6 i 7-go listopada r. b. odbyło się w Krośniewicach województwa warszawskiego polowanie w 9 strzelb, na którem ubito: 528 bażantów-kogutów, 70 kuropatw, 2 słonki, 1 królika, 2 jastrzębie i 2 sójki, razem sztuk 605.

WIADOMOŚCI BIEŻĄCE.

O rekord pomiotu suki.

Do nagłówka, rekord światowy suki, chciałbym nadmienić, że 4 lata temu wydała moja suka, „Bissy z Poznańskiego", rasy szorstkowłosej, 13 szczeniąt na świat. Za pomocą dwóch suk „nianiek" (zwykłe suki podwórzowe) udało mi się cały pomiot wychować, jednej i drugiej mamce powierzyłem po 4 szczenięta, prawdziwej matce 5. Wszystkie szczeniaki się dobrze rozwijały i pewna część wyrosła nawet na bardzo silne psy, reszta osiągnęła normalną wysokość, prócz jednej suczki, która została trochę mała, użytkowo była bardzo dobra.

„Bissy" liczyła w owym czasie 6 lat, na popisach pol. wyżłów dowodnych uzyskała II nagrodę, obecnym właścicielem jest książę Drucki.

Bardzo często dokarmiono także szczenięta; o ile pomiot jest liczny, a szczenięta szlachetne, udaje się to doskonale za pomocą butelki i korka gumowego; mleko musi być naturalnie ciepłe i nigdy nie trzeba dolewać wody. Najtłuściejsze mleko od krowy lub nawet od kozy nie posiada tyle tłuszczu, co od suki.

IG. JASIŃSKI.

WALKA Z KŁUSOWNICTWEM.

W październiku r. b. skonfiskowano kłusownikom w powiatach:

Biała Podlaska — 2 sztuki broni myśliwskiej.
Biłgoraj — rewolwer bębenkowy, 6-strzałowy.
Chełm — 6 szt. br. myśl. i skórkę z zająca.
Hrubieszów — 2 karabiny.

Janów Lubelski — 7 szt. br. m. i karabin.
Lubartów — 3 szt. br. m.
Lublin — 1 szt. br. m., flower i rewolwer.
Puławy — 3 szt. br. m. i karabin.
Radzyń — 2 szt. br.
Siedlce — 1 zająca.
Sokołów — 3 szt. br. m. i karabin.
Włodawa — 4 szt. br.
Zamość — 4 szt. br.

Razem skonfiskowano kłusownikom w województwie lubelskiem: 35 sztuk broni myśliwskiej, 2 zające, 5 karabinów, 2 rewolwery i 1 flower.

— W dniu 24 maja r. z. znaleziono na drodze pod wsią Tuczna Baba w pow. będzińskim, zwłoki gajowego lasów państwowych, Józefa Graczyka. Denat był zastrzelony. Prawa ręka ściskała duży kawał materjału, oderwanego wraz z kieszenią od marynarki, w której było wezwanie do sądu na nazwisko Stanisława Nędzy. Ślad ten naprowadził na trop zabójcy. Nędza miał porachunki z gajowym, który go kilkakrotnie przyłapał na kłusownictwie. W nocy z 23 na 24 maja zaczaił się na gajowego i strzelił z rewolweru. Wywiązała się walka, w której gajowy oberwał zabójcy kawał kurtki. Strzał jednak był śmiertelny i ofiara obowiązku wyzionęła ducha. Sąd okręgowy w Sosnowcu w dniu 1 czerwca r. b. skazał Nędzę na 10 lat ciężkiego więzienia. Apelację skazanego sąd apelacyjny oddalił, tak samo i kasacji sąd najwyższy nie uwzględnił i wyrok skazujący utrzymał w mocy.

— Gajowy lasów, należących do folwarku Dłutów, powiat łaski, Michał Gierus, obchodząc swój rejon, w pewnym momencie usłyszał strzał. Kiedy przybył do sąsiedniego zagajnika, zauważył tam 3 mężczyzn. Byli to, jak się później okazało, dwaj bracia Władysław i Zygmunt Rozpęgowie i Franciszek Grzegorczyk, znani w okolicy kłusownicy. Strzał spowodował Grzegorczyk, który zauważywszy na drzewie wiewiórkę, strzelił. Na widok zbliżającego się Gierusa, fuzję ukrył w trawie. Gierus zażądał od kłusowników wydania ubitej zwierzyny i fuzji. W odpowiedzi na to Władysław Rozpęga obruszył się na Gierusa, zarzucając mu wtrącanie się do nieswoich rzeczy. Wówczas Gierus, mający broń w pogotowiu, zagroził, iż w razie odmowy będzie strzelał. W tym momencie, któryś z kłusowników rzucił w Gierusa kamieniem, uderzając go w rękę. W następstwie tego padł strzał z dubeltówki. Władysław Rozpęga został śmiertelnie ranny w brzuch. Wkrótce po wypadku skonał. Sąd okręgowy w Łodzi skazał Gierusa na 3 lata więzienia, sąd apelacyjny zaś w Warszawie, pod przewodnictwem wice - prezesa Orłowskiego, rozpatrzywszy tę sprawę, uznał oskarżonego Gierusa winnym nieostrożnego obchodzenia się z bronią, uchylił wyrok I instancji i skazał go na dziesięć miesięcy więzienia, zmniejszając tę karę na zasadzie amnestji do połowy.

— Przed izbą karną sądu okręgowego w Poznaniu toczył się proces przeciwko 24-letniemu Józefowi Surdykowi (zam. w Najewie pod Szamotułami), któremu akt oskarżenia zarzucał, że w dn. 18 maja r. b. zastrzelił z zasadzki właściciela 100-morgowego gospodarstwa, Władysława Kwiatkowskiego. Surdyk, wraz z przyjacielem swoim, Tomaszem Jurgą, uprawiali od dłuższego czasu kłusownictwo. Gdy pewnego dnia Kwiatkowski postanowił ich pochwycić „in flagranti", obaj kłusownicy ukryli się w rowie. W chwili kiedy Kwiatkowski zbliżył się do ich kryjówek, Surdyk strzelił, kładąc go trupem na miejscu. Śledztwo policyjne doprowadziło do ujęcia Surdyka, który przyznał się w końcu do winy, zaprzeczając jednak, by Jurga był obecny przy dokonaniu zbrodni. W czasie rozprawy Jurga zeznawał z wolnej stopy, ale tak plątał się w zeznaniach, że prokurator zarządził aresztowanie go i przekazanie władzom śledczym. Wobec tego, że akt oskarżenia przeciw Jurdze nie może być wygotowany przed upływem miesiąca, rozprawę odroczono.

— **Z warszawskiego zwierzyńca.** — Na terenie, dotychczas zajmowanym przez „Luna-park", projektowane jest w przyszłości założenie wielkiej, sztucznej skały dla zwierząt polarnych (białe niedźwiedzie, renifery i pingwiny) oraz wielkiego stawu dla ptactwa wodnego i błotnego.

Do zwierzyńca przybył w darze, złapany na wodach pińskich nur polarny. Jest to dość rzadki okaz i trudny do karmienia, gdyż je wyłącznie żywe ryby. Umieszczono go na stawku, na którym przebywały podczas lata pelikany.

Nadszedł też buhaj zebu, nabyty z rąk prywatnych w Polsce. Obecnie rząd angielski nie pozwala zwierząt tych wywozić, wobec czego okaz ten jest tem cenniejszy. Zebu umieszczono w zagrodzie w sąsiedztwie wielbłąda.

Zwierzyniec otrzymał w darze od dyrekcji lasów państwowych w Białowieży samca głuszca, który jest rzadkim okazem w ogrodach zoologicznych, gdyż jego chowanie jest nadzwyczaj trudne. Głuszec dostarczony do ogrodu jest wyjątkowym okazem, gdyż w puszczy pozwolił się złapać gołemi rękami. Pomieszczono go w woljerze bażantów. Będzie to próba przetrzymania głuszca możliwie długo w warunkach niewoli. O głuszcu tym dajemy w tym numerze osobny artykuł z fotografją.

— **Psy na wystawie toruńskiej.** — Powszechne a zasłużone słowa uznania wyrażano organizatorom odbytej w zeszłym miesiącu w Toruniu Pomorskiej Wystawy Drobiu i jej wystawcom. Wystawa psów atoli nie dopisała na tej wystawie ogólnej. Każdego zwiedzającego wystawę uderzało dziwne ubóstwo działu psów. Obok setek drobiu, gołębi, królików i t. d. — dział ten reprezentował się znikomo. Głównym powodem tego faktu była wysokość opłaty od wystawianych sztuk okazowych, — wynosząca 15 zł. Oczywiście niejednemu posiadaczowi pięknego psa, niezainteresowanemu bezpośrednio w wystawie, czy to przez sprzedaż, czy też reklamę firmy, — stawka ta uniemożliwiła wystawienie psa. W przyszłości zapewne sprawy te będą inaczej uregulowane i umożliwią szerokim kołom wystawianie pięknych okazów, których nie brak w Toruniu i na Pomorzu.

— **Tragiczny wypadek po polowaniu.** — W Bierułtowach pow. rybnickiego, nadgórnik Paweł Polnik po powrocie z polowania powiesił na ścianie w pokoju,

gdzie znajdowało się jego trzech nieletnich synów, nabitą strzelbę, którą zapomniał wyładować. Po odejściu ojca najstarszy syn zdjął strzelbę ze ściany, chcąc poznać jej konstrukcję. W trakcie manipulowania broń wypaliła, raniąc śmiertelnie 8-letniego brata, któremu kula przebiła głowę i z kolei zraniła lekko drugiego, 9-letniego. Na widok tego strasznego wypadku ojciec dostał wstrząsu nerwowego.

— **Osobiste.** — P. Aleksander Janta Połczyński, utalentowany autor „O świcie" i innych opowieści myśliwskich, współpracownik naszego pisma, wyjechał do Paryża i przestał redagować dodatek myśliwski do „Dziennika Poznańskiego".

P. Janta Połczyński nadsyłać będzie korespondencje z Paryża do „Łowca Polskiego". Pierwszą z tych korespondencyj wydrukujemy w jednym z najbliższych numerów.

BIBLJOGRAFJA ŁOWIECKA.

„Łowiec" lwowski, organ Małopolskiego Towarzystwa Łowieckiego, w dwóch numerach listopadowych zamieścił następujące prace:

Władysława Czerniejewskiego „Z teki starego leśnika". — Stanisława Barabasza „Z przeżyć myśliwskich". — Jarosława Hubaleka „Demon puszczy".— D-ra Stanisława Koźmiana Rejchera „Pies". — Stanisława Korwin-Milewskiego „Dobry człowiek". — D-ra H. Malsburga „O imporcie zwierzyny". — Gen. Walerego Marjańskiego „Znowu kilka uwag o amunicji śrutowej zakł. amunic. „Pocisk". — „Z Karpat" A. M.— „Z oddziału Małop. Tow. Łowieckiego w Krakowie: o ochronie drobnej zwierzyny użytkowej". — „Sprawy Towarzystwa".

H. M. „O pierwszej Pow. Polskiej Wystawie Łowieckiej w Poznaniu w 1929 r." — Mieczysława Mniszka Tchórznickiego „Myśliwi widma". — Mieczysława Kruszewskiego „W obronie mego artykułu „Zdemaskowanie myszołowa" (Panu Al. Przedrzymirskiemu w odpowiedzi)".—„Instytut badań ścisłych nad życiem ptaków drapieżnych" Zaw. Del. — „Wystawa łowiecka w Poznaniu. Wykaz nagród". — „Sprostowanie". — „Komunikat".

„Słowo" wileńskie w dodatku łowieckim za październik zamieściło następujące prace: „Jeszcze o tukanie" Leopolda Paca-Pomarnackiego. — „Korespondencja z Woropajewa" Karola Korkozowicza. — H. Dewettera „Kwalifikowanie foksteriera ostrowłosego w Anglji". — „Jeszcze o wilkach" I. Sołogowskiego. — „Wspomnienia myśliwskie" Stefana Tuhana-Baranowskiego. — „O pomnik łowiectwa polskiego" Aleksandra Janty-Połczyńskiego. — „Kronika Myśliwska". — „O koniach, o sporcie, o łowiectwie najmniej" Michała K. Pawlikowskiego. — „To i owo" R. S. — „Łowiecka skrzynka pocztowa". — „Z Tow. Łowieckiego Wojew. Wileńskiego". — „Ostrzeżenie".

SPROSTOWANIE.

W Nr. 48 „Łowca Polskiego" na stronicy 843 w artykule „Sprawozdanie sędziów z prób polowych" pod kliszą z napisem „Grupa sędziów", należy dodać: „Fot. Józef Cybulski".

W Nr. 49-ym w tymże artykule na str. 853 pod kliszą, zamiast: „Fot. Z. Tarnowski", powinno być: „Fot. Józef Cybulski", a na str. 854 pod kliszą zam. „Fot. S. Cybulski" — „Fot. Józef Cybulski".

WIADOMOŚCI HANDLOWE.

⨯ **Dziczyzna.** — W końcu listopada na rynku berlińskim wzmógł się nieco dowóz jeleniny i danieliny, ale popyt przerastał o wiele podaż. Zajęcy, królików i bażantów było skąpo. Tendencja zwyżkowa. Notowano ceny za pół kilo: jelenia I gatunku — 0,75 do 0,78 m., II g. — 0,73 do 0,75, cielęcia — 0,85 do 0,90; daniela-rogacza I g. — 0,75 do 0,83, II g. — 0,70 do 0,75, ciel. — 1,15 do 1,30; dzika I g. — 0,70 do 0,75, II g. — 0,60 do 0.65, warchlaka — 0,80 do 0.85. Za sztukę: kaczka dzika — 2,40 do 2,70, bażant-kogut młody — 3,70 do 3,90, stary — 3,20 do 3,40, kura — 2,60 do 2,80, słonka — 3,80 do 4,00; zając duży — 8,00 do 8,25, średni — 4,50 do 5,50, mały — 3,00 do 4,00. Dziki królik — 2,40 do 2,70.

⨯ **Skórki i futra.** — Tendencja stała. Popyt na towar zimowy był słaby, ale i podaż niewielka. Wyjątek stanowią zające i króliki, których podaż była większa. Na rynku berlińskim zanotowano: zając letni — 0,40 m., jesienny — 0,80, zimowy — 1,50 do 1,60. Dziki królik zimowy — 0,40, jesienny — 0,28, letni — 0,15 do 0,18. Sarna zimowa — 1,60, jesienna — 2,10, letnia — 3,00. Lis I gat. — 35,00 do 38,00, II g. — 25,00 do 30,00, III g. — 15,00 do 20,00. Tchórz I g. — 19,00, II g. — 13,00 do 15,00. Kuna-kamionka I g. — 65,00, II g. — 55,00, leśna I g. — 95,00, II — 85,00. Wydra I g. 80,00, II — 65,00. Borsuk — 4,00 do 6,00. Gronostaj — 4,00 do 5,50. Wiewiórka zimowa — 0,85. Za pół kilo: jeleniej — 0,35 do 0,40, danielej — 0,55 do 0,60; dziczej letniej — 0.05.

Na międzynarodowym rynku futrzanym panuje niezwykle silny kryzys. Kupcy nagromadzili duże zapasy w przewidywaniu wczesnej i ostrej zimy w Europie centralnej. Tymczasem ciepły październik i listopad spowodowały małe zainteresowanie się futrami, a co za tem idzie, zmniejszone zapotrzebowanie hurtowników. W związku z powyższą sytuacją na giełdzie londyńskiej niektóre gatunki futer spadły o 30, a nawet i o 35 proc. Ciężki kryzys przeżywają również hurtownicy futrzani w Lipsku. Wiele firm ogłosiło niewypłacalność. Dała się również zauważyć wyraźna zniżka cen na futra i w sklepach warszawskich. Magazyny są pełne futer, sprzedaż idzie tępo.

⨯ **Z hodowli futerkowej.** — Polski Związek organizacyj i Kółek rolniczych, wystąpił z następującem ostrzeżeniem:

Hodowla szczurów piżmowych, których futerka znane są w handlu pod nazwą „piżmowców", czyni znaczne postępy. Stwierdzono, iż hektar ziemi, przeznaczony dla hodowli piżmowców, przynosi około 10.000 złotych czystego zysku. Na tegorocznych przetargach futer w Londynie sprzedano przeszło 700 tysięcy skórek piżmowców, przeciętnie po 20 zł. za skórkę. Należy jednak pamiętać, iż zdziczały szczur piżmowy jest szkodnikiem i dlatego propaganda hodowli tych zwierząt winna ograniczyć się do zalecania hodowli szczura piżmowego w obitych blachą klatkach.

× **Lisy norweskie.** — W Norwegji powstał krajowy związek norweskich hodowców, popierany przez państwo. Szereg kontrolerów państwowych corocznie na jesień przeprowadza inspekcję wszystkich ferm dla hodowli lisów srebrnych. Wszystkie lisy, które kontrolerzy uznają za zdatne dla dalszej hodowli, zostają znaczone literą i wpisywane w oficjalny rejestr. Pozostałe zwierzęta, jako kasowane, również zostają znaczone w specjalny sposób i zabijane przed rozmnażaniem się. Dzięki przezorności i troskliwej opieki władz, należy norweskie lisy srebrne uważać za najlepsze na świecie, tak pod względem jakości futra, jak i ze względu na pewność hodowli. Importerzy otrzymują gwarancję co do jakości lisów. Cena za parę franco Gdańsk wynosi obecnie ca. 6.000 zł. za zwierzęta niepremjowane, a ca. 8.000 zł. premjowanego pochodzenia. Koszta założenia fermy przypuszczalnie wyniosłyby jakie 800 zł. od każdej pary lisów, a karmienie pary kosztowałoby 150 — 300 zł. rocznie. Hodowla lisów srebrnych nie nastręcza wielkich trudności.

Od Redakcji.

Na święta Bożego Narodzenia wydajemy obecny numer podwójny: 50-51, wskutek czego następny numer, ostatni w roku bieżącym ukaże się w sobotę d. 28 grudnia.

Prenumerata na rok 1930.

Do niniejszego numeru załączamy dla każdego P. Prenumeratora po dwa przekazy P.K.O. Nr. 80—82, z uprzejmą prośbą o nadesłanie prenumeraty na rok 1930, oraz o łaskawe wręczenie drugiego przekazu znajomym myśliwym w celu zjednania nowych czytelników.

W interesie PP. Prenumeratorów leży odnowienie prenumeraty przed Nowym Rokiem, gdyż potem może zabraknąć numerów styczniowych.

Adm. „Łowca Polskiego".

KONKURS NA MONOGRAFJĘ ŁOSIA.

Wydział Wykonawczy Polskiego Związku Stowarzyszeń Łowieckich ogłasza konkurs na monografję łosia (Cervus alces).

Praca nagrodzona przechodzi na własność Polskiego Związku.

Termin nadsyłania prac upływa dnia 31 grudnia r. b.

Nagroda wynosi 500 (pięćset) złotych, oprócz normalnego honorarjum, płaconego przez „Łowiec Polski", w którym praca będzie drukowana.

Do składu jury należą pp.: przewodn. Stanisław Lilpop, prof. Edward Niezabitowski, M. hr. Potocki, prof. Edward Schechtel i Bolesław Świętorzecki.

Prace konkursowe winny być oznaczone godłem, z dołączeniem koperty z nazwiskiem autora, oznaczonej tem samem godłem.

Prace nienagrodzone będą do odebrania po rozstrzygnięciu konkursu w Sekretarjacie Polsk. Związku (Warszawa, Nowy Świat Nr. 35).

**WYDZIAŁ WYKONAWCZY
POLSK. ZWIĄZKU STOW. ŁOW.**

Redakcja nie zwraca nadesłanych rękopisów i zastrzega sobie swobodę czynienia z nich poprawek i skrótów. Redakcja nie odpowiada na zapytania, kiedy będzie drukowany artykuł, gdyż zależy to od całokształtu numeru i od posiadanego przez Redakcję materjału. — Redaktorzy przyjmują w poniedziałki od godziny $5^{1}/_{2}$ do $6^{1}/_{2}$ wieczorem.

Redaktorzy: Juljan Ejsmond i Walenty Włodzimierz Garczyński. Wydawca: Polski Związek Stow. Łowieckich.

Zęby psa.

— Alez Józieczko, nie dawaj psu tyle cukierków, zepsuje sobie zęby, zjedz lepiej sama.

Groźne zwierzę.

Nauczyciel wypytuje uczniów o zwierzęta afrykańskie. Ponieważ zapytany zapomniał wspomnieć nosorożca, profesor usiłuje naprowadzić malca na właściwą drogę:

— No, cóż to za zwierzę, co nosi róg na nosie i zagraża przechodzącym?

— Samochód, — odpowiada chłopak.



Odległość rogacza ok. 100 m.
„ daniela „ 150 „
„ jelenia „ 200 „

OKREŚLANIE ODLEGŁOŚCI.

W przedstawionem tu, normalnem polu widzenia lunety Zeissa, pusty rozstęp pomiędzy poprzecznemi beleczkami odpowiada szerokości 70 cm. na odległość 100 m., czyli normalnego kozła, licząc od przodu do lustra, niezależnie od stopnia powiększenia lunety. Tym sposobem myśliwy posiada znakomity środek dla łatwego i dokładnego określania odległości zwierzyny. Bliższe szczegóły co do powyższego, oraz inne zalety lunety Zeissa zawiera katalog Zeissa.



LUNETA ZEISSA

Obszerne pole widzenia — Znaczna siła świetlna — Doskonała ostrość obrazu — Mocna budowa przy małej wadze. Siedm modeli Zeissa od 1 do 8-krotnego powiększenia dla broni myśliwskiej, lżejszej i cięższej, oraz broni małokalibrowej.

Do nabycia i dopasowania w składach i fabrykach broni.

Katalog „Ziel 105" na żądanie wysyła bezpłatnie

CARL ZEISS JENA

JENERALNA REPREZENTACJA
DOM HANDLOWY J. SEGAŁOWICZ
WARSZAWA, Szpitalna 3, tel. 58-54, 57-55.

PRZYSŁOWIA.

Lepszy gołąb w ręku, niż bażant na sęku.
Pieczone gołąbki nie polecą do gąbki.
Tak prawda, jak, że kiedyś żywe kiełbasy, a pieczone gołębie po świecie latały.
Po dzieci gołąb w ogień leci.
Gnębi, jak jastrząb małe gołębie.

Firma egzystuje od roku 1872
ZAKŁAD ZEGARMISTRZOWSKI
M. POZZI I P. CZERNIK
W WARSZAWIE, NOWY-ŚWIAT NR. 10.
Sprzedaż i reparacja z dwuletnim poręczeniem.
Przy sklepie specjalna pracownia precyzyjnych robót.
Na żądanie reparacja w ciągu 24 godzin.

„FOTOGRAF POLSKI"

ARTYSTYCZNIE ILUSTROWANY MIESIĘCZNIK FOTOGRAFICZNY

Organ Polskiego T-wa Miłośników Fotografji, Stowarz. Fotografów Zawodowych w Warszawie, Lwowskiego Towarzystwa Fotograficznego. Stowarzyszenia Fotografów Wielkopolskich i Klubu Miłośników Fotografji w Łodzi

Pod redakcją **St. Schönfelda.**

Pismo ilustrowane, poświęcone szerzeniu sztuki fotograficznej w Polsce i podnoszeniu jej artystycznego poziomu przeznaczone przedewszystkiem dla fotografów amatorów. Przynosi zarówno wiadomości początkowe o technice, optyce posiłkowaniu się sprzętem fotograficznym, jak również rozważania dla wytrawnych amatorów, przegląd prasy krajowej i zagranicznej, przepisy i t. p. Każdy numer zawiera artystyczne reprodukcje prac najwybitniejszych fotografów krajowych i zagranicznych.

Numery okazowe na żądanie bezpłatnie

WARUNKI PRZEDPŁATY: kwartalnie z odnoszeniem lub przesyłką zł 4,—, zagranicą zł. 5,—.
półrocznie z odnoszeniem lub przesyłką . . . zł. 8 — zagranicą zł. 10 —
rocznie . . „ . . . . „ 15 — „ „ 20 —

Adres administracji: WARSZAWA, ul. Czackiego 3/5, tel. 56-34. Konto w P. K. O. Nr. 48-32



Towarzystwo
Hodowli Psów Myśliwskich

ŻÓŁTA KARCZMA Służew

(dojazd tramwajem 12, 19 i 1, ew. samochodem)
Tel. 415-84. Konto P. K. O 207-15.

Zakład hodowli i tresury psów myśliwskich

Pensjonat dla dorosłych psów, tresura, wychów szczeniąt, kopulacja, pośrednictwo przy sprzedaży.

Informacje u gospodarza Zakładu p. **A. Brudnickiego, Krucza 34,** skład apteczny telefon 151-14.

Pies a homar.

Pewien szkot przechadzał się z psem po ulicach Glasgowa; trafił między innemi na targowisko, gdzie stał kosz z żywymi homarami. Jeden z nich chwycił psa szczypcami za ogon, pies zawył i począł pędzić co tchu naprzód.

— Niech pan zagwiżdże na psa! — zawołał rybak, właściciel homara.

— Ani mi się śni — odpowiedział szkot — niech pan lepiej odwoła swego homara.

Kot a mysz.

Znany lekarz nie lubił, by go budzono w nocy. Raz położył się o pierwszej, w złym humorze. Za chwilę posłyszał znowu dzwonek.

— Cóż tam? — krzyknął ze złością.

— Doktorze! Prędko! Prędko! Synek mój połknął mysz.

— To dobrze! — odparł, kładąc się z powrotem.— Daj mu pan połknąć kota.

Z polowania.

— Nic dziwnego, iż pan nigdy nic nie przynosi, skoro poluje bez psa.

— Ba, właśnie zabiłem kiedyś tego psa...

Dobry pies.

Na polowaniu: — Pst, niech pan mówi cicho przy moim psie, bo tę bestję tak wytresowała moja żona, że wszystko jej donosi.

Zastępca mopsa.

— Dlaczego pani taka smutna?

Panienka: — Mój mopsik mi zginął.

Młodzieniec (z westchnieniem): — Ach! gdybym mógł go pani zastąpić.

Po polowaniu.

— Znowu przychodzisz z pustemi rękoma?... Nie mogłeś zabić nawet nędznego zająca?

— Ależ, moje dziecko, nie miałem przy sobie ani grosza.

Lepszy harap, niż hu lala! (Hul, hul, v. hu lala — okrzyk myśliwych, płoszących zwierza, szczególnie wilki).

Kiedy swego czasu goły las nastaje, św. Hubert z lasu cały obiad daje.

Nie każdy indyk zwycięży człowieka.

Nikt na indyku nie wjechał do piekła, ani na szczupaku do nieba.

Wolę zjeść indyka, niż czyżyka.

Z indora tłustego więcej sapania, niż czego.
Czerwony, jak indyk.
Handel byka na indyka.
Jedzie, jak kurjer na indyku.
Racja fizyka, zjadł pies indyka.
Kury do indyk nie należą.
Łydki, jak u starego indora.
Mieniać byka na indyka.
Nadął się, jak indyk.

Ks. Yorku i nosorożec.

Gdy książę Yorku w roku 1924 odbywał podróż po Afryce wschodniej, rozpuszczono wiadomość, że pewnego dnia zabił nosorożca. Jako ten dzień wiadomość podawała niedzielę, skąd powstało niezadowolenie w pewnych kołach, które nie mogły darować księciu, że w niedzielę polował. Anglicy bowiem święcą niedzielę bardzo ściśle, nawet lokale restauracyjne i t.p. są w Landynie zamknięte. To też gdyż książę wrócił do Anglji, dziennikarze przybyli na jego powitanie, pytali o historję z nosorożcem.

— Po pierwsze — odpowiedział książę, — nosorożec padł wcale nie w niedzielę. Po drugie — nigdy do nosorożca nie strzelałem. Po trzecie — nie jestem pewny, czy nosorożec wogóle wie, kiedy jest niedziela.

Hej, z drogi narodzie, bo indyk pobodzie.
Spuścił nos, jak indor.
Przywiązany jak koral do indora.
Lepszy wróbel na rożnie, niż indyk w powietrzu.
Nim złodziej wołu skradnie, probuje indyka.
Dmie się jak indyk na płocie.
Napuszył się jak indyk.
Wygląda jak zmokła indyczka.

Póki ziarno w gołębniku, nie zabraknie gołębi.
Kochają się jak dwa gołąbki.
Orzeł gołębia nie lęgnie.
Kto naśladuje pudla, gołębia, węża, ten fochy pańskie zwycięża.
Las leszczyna, wróbel zwierzyna, gołębie dobytek, serwatka napitek, ryby karaski, wiwat szlachcic podlaski.
Siwy, jak gołąb.

Dla wilka las, dla gołębia strzecha.
Z wilka nie zrobi gołębia.
Gronostaj w błocie się nie tarza.
Biały gronostaj na błocie nie siada.
Z przodu gronostaje, a z tyłu nie dostaje.
Już niewczas po harapie gonić (Harap v. herap z niem. herab — nawoływanie myśliwych, poskramiających psy po pojmaniu zwierza).

Zakł. Druk. F. Wyszyński i S-ka, Warecka 15.